MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 12. WARSZAWA, 5 MARCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

SAMORZĄD SZKÓŁ AKADEMICKICH A ROZWÓJ NAUKI I WYCHOWANIA

(ODCZYT WYPOWIEDZIANY W AULI UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO W DNIU 11 LUTEGO 1933 R.)

NIE JEST W ZWYCZAJU w murach akademickich poruszanie aktualności. Dzieje się to tylko w chwilach wyjątkowych. Ale chwila taka właśnie nadeszła, ponieważ aktualność dość niedyskretnie kołacze do naszych uniwersytetów. Pod obradami ciał ustawodawczych jest projekt ustawy, o którym powiedzieć można przynajmniej tyle, że wcina się głęboko w życie szkół akademickich, a odbiega jaskrawo od tej tradycji, o której słyszeliśmy przed chwilą, a która ukształtowała ich całego ducha. Na samo czoło projektu tej ustawy wysuwa się sprawa wolności nauki, którą projekt obiecuje szanować. Możemy być tylko wdzięczni jego autorom za tę dobrą intencję, ale winniśmy tutaj zaraz wprowadzić pewne wyjaśnienie, które ułatwi nam dalsze orjentowanie się w przedmiocie, o którym mówimy.

Wolność nauki jest to rzecz, której żaden prawodawca ani jej dać, ani odebrać nie jest w stanie. Nauka zdobywa ją sama, albo traci ją z własnej winy. Opanowanie materjału, przełamanie oporu badanego przedmiotu, poddanie skutecznej kontroli ułomnych władz umysłu ludzkiego, a jednak najdalej idące ich wyzyskanie, oto trud, który każdy uczony podjąć musi na własną rękę, a przez który dopiero osiąga pożądaną wolność w obronie swej umiejętności. Jasnem jest, że tutaj żadna zewnętrzna ingerencja wogóle pomyśleć się nie da. Jeśliby to komukolwiek paradoksem lub przesadą wydawać się miało, faktem pozostanie, że nauka jest szczególnem zjawiskiem, mogącem powstać i istnieć tylko tam, gdzie jest samorzutność, gdzie jest samorodność, że zewnętrznym nakazom albo przymusom jest ona z istoty swojej zgoła nieprzystępna. To też jeżeli od najdawniejszych czasów, bo istotnie od czasów akademji platońskiej, wszelkie próby tworzenia organizacyj, służących nauce, zawsze na zasadach samodzielności i samorządności się opierały, to nie było to wyrazem jakiegoś sztucznego, przypadkowego dążenia, lecz przemożnej natury samej rzeczy.

Ta samorządność znajduje swój wyraz w kilku rozstrzygającej wagi punktach. Na pierwszem miejscu znajduje się niezależność samych uczonych, a wiadomo, że niezależność materjalna nie jest podstawą, lecz jest w pewnej mierze gwarancją niezależności umysłowej. Dlatego też we wszystkich krajach, posiadających wysoko rozwinięte szkolnictwo wyższe, znajdujemy u jego podstaw zasadę nieusuwalności profesorów. Tymczasem nasze najnowsze zarządzenia w sposób dotkliwy podkopują tę zasadę, wbrew tej okoliczności, że profesor prawie zawsze jest długą i żmudną pracą przygotowany do zajmowania się specjalnością, nie znajdującą poza uniwersytetem żadnego zastosowania. Pozbawiony swego stanowiska akademickiego staje się zupełnym rozbitkiem życiowym, a dla skutecznego prowadzenia prac swoich potrzebuje atmosfery pewności i stałości.

Jest książka amerykańska ostatniej doby, znanego powieściopisarza o socjologicznym pokroju Sinclair Lewis'a, przedstawiająca stosunki w amerykańskich uniwersytetach, a także w instytutach badawczych. Dowiedzieć się z niej można w sposób nadzwyczaj pouczający, jak niezmiernie szkodliwie odbija się na życiu naukowem uzależnienie go, choćby tylko od wspaniałomyślnych fundatorów, którzy zaopatrują instytucje naukowe w miljonowe

sumy, a jednak w rezultacie przyczyniają się w wielu wypadkach do zupełnego wypaczenia ich działalności.

Ze sprawą niezależności profesorów łączy się bezpośrednio sprawa ich powoływania i wogóle rekrutowania personelu naukowego w uniwersytetach. Ktokolwiek ma w tej dziedzinie dłuższe doświadczenie, ten zdaje sobie sprawę, jak mało dokładnie zna nawet te dziedziny, które wydają mu się bliskiemi, i zrozumie bez trudu, że tylko najbardziej wpracowani specjaliści wyrokować mogą o kandydatach na stanowisko naukowe.

Podnoszono w ostatnich czasach zarzut, że prawo wyboru kandydatów, które posiadają uniwersytety, wywołuje w nich jednostronność, zacieśnienie i bezwzględną przewagę pewnych kierunków. Otóż nie ma to nic wspólnego z jakąkolwiek profesorską zarozumiałością, jeżeli twierdzimy, że właśnie samorządność uniwersytecka najlepiej neutralizuje te wszystkie nieuniknione niedomagania. Uniwersytety mają i mogą się uzupełniać, co się w jednym nie rozwinie dość silnie, to w drugim mocniej rozkwita. Jednostronność jednego znajduje zrównoważenie w innej specjalizacji drugiego, właśnie zupełna swoboda i wolność inicjatywy prowadzi do tego, by życie naukowe kraju wszechstronnie i bujnie się rozrastało, a niepodobna sobie wyobrazić, by stan ten mógł przedstawiać się pomyślniej, gdy nici wszelkich na tem polu poczynań zbiegać się będą u jednego ministerjalnego biurka. Kilkadziesiąt istniejących w Polsce Wydziałów Uniwersyteckich, z wielu setkami członków zawsze lepiej będzie znało potrzeby i warunki polskiej nauki, aniżeli nawet najlepiej postawiony Wydział Ministerstwa Oświaty.

Tyczy się to oczywiście tak samo rozwoju pracowni naukowych w najszerszem tego słowa znaczeniu. Laboratorjum przyrodnika staje się niejako częścią jego osoby, to samo powiedzieć można o bibljotece humanisty. Jakże jednemu i drugiemu odmówić roztrzygającego głosu tych sprawach, które nieraz on jeden tylko zna i naprawdę zdoła ocenić.

Wreszcie administracja uniwersytecka! Między profesorami, piastującymi uniwersyteckie godności, znajdują się oczywiście mniejsze i większe talenty administracyjne, ale to samo odnosi się do urzędników państwowych dykasteryj. Otóż nie chciałbym dla nikogo być nieuprzejmy, ale śmiem z całą stanowczością twierdzić, że uniwersytety nie są ani o włos gorzej administrowane przez swoje autonomiczne władze, niżeli różnego rodzaju przedsiębiorstwa państwowe, objekty majątku państwowego lub instytucje bezpośrednio podległe zwierzchności państwowej.

Obok zadań naukowych, mają uniwersytety swoje zadania dydaktyczne i wychowawcze. Swieżo dyskutowano o tem, w jakiej mierze uniwersytety wywierać mogą wpływ wychowawczy na swoich słuchaczów. Tu znowu musimy usunąć przedewszystkiem nieporozumienia. Zadaniem uniwersytetu nie jest podawane swoim uczniom wyłącznie skrystalizowanych już rezultatów nauki. To robi szkoła średnia, to robić powinna i nie jest rzeczą pożądaną, by z tego swojego zakresu działania się wyłamywała. Na uniwersytecie nie wskazuje się tylko wyników badań, lecz uczy się także metod badania samego. Wychowaniec uniwersytetu, otrzymujący dyplom, nie może być tylko przygotowany do rutynistycznego wykonywania pewnych specjalności, musi być zdolny do tego, by ze swej strony zostać także badaczem. Stosunek między tem, co nazwać możemy skodyfikowaną treścią nauki, a tem, co stanowi przedmiot i metodę jej poszukiwań, w różnych naukach jest oczywiście różny, lecz niema takiego przedmiotu, wykładanego na uniwersytecie, gdzie nie zachodziłyby oba te elementy zarówno. I dlatego każdy z nas, profesorów uniwersyteckich, nie tłumaczy swoim słuchaczom tego tylko, co ich ma obowiązywać, lecz zapoznaje ich z tem, co obowiązuje jego samego, mówi im szczerze to, co wie, i równie szczerze to, że czegoś nie wie, otwiera przed nimi własne sumienie, daje im z siebie, co ma najlepszego. Więcej żaden wychowawca uczynić nie może, i dlatego śmiem twierdzić, że wpływ wychowawczy uniwersytetu jest i będzie zawsze olbrzymi. Warunkiem tego wpływu i stosowania tej jedynie skutecznej metody do ludzi już dorosłych, jakimi są studenci, jest to, co określamy mianem wolności akademickiej. I ona nie jest nieczyjem przywidzeniem, lecz ma za sobą wiekowe doświadczenie i samą istotą rzeczy.

Wreszcie sprawa porządku i karności uniwersyteckiej. Każdy z nas zdaje sobie sprawę, że szczytne powołanie uniwersytetów nie dokonywa się w świecie platońskich idej, lecz w świecie realnym, w świecie ludzkim. Ludzie są ludźmi, a zbiorowiska są zbiorowiskami. Musi w nich panować ład, musi w nich panować karność i poszanowanie władzy, musi istnieć nawet to, co się nazywa dyscypliną. Ale właśnie dlatego słusznie podniósł p. rektor krakowski Kutrzeba, przemawiając w komisji sejmowej, że ustawa zamiast podnosić urok i poszanowanie władz uniwersyteckich, może podkopać ich stanowisko i ich powagę, poddając je w sprawach dyscyplinarnych pod bezpośrednią zwierzchność władz administracyjnych.

Obrońcy projektu nowej ustawy uspokajają nas, że należy przecież liczyć na roztropne i oględne jej stosowanie, że mając dzisiaj do czynienia z własnym, a nie, jak niegdyś, wrogim rządem, nie mamy powodu przewidywać bezwzględnego wyzyskiwania przez władzę państwową zawartych w niej uprawnień. Rozumowanie takie wydaje się dziwnie niekonsekwentne. Gdyby natura ludzka nie była ułomna, toby wogóle nie potrzeba było ustaw. A jeżeli się zapowiada umiar i oględność w stosowaniu ustawy, to czy nie lepiej oględnie i przewidująco sformułować ją samą, zamiast trochę na oślep przesądzać zgóry o nienagannem względem uniwersytetów usposobieniu wszystkich przyszłych ministrów oświaty i ich współpracowników!

Jeszcze inni zarzucają nam wogóle przesadę, zapewniają, że jakoś to będzie, i że z pewnością tak czy owak szkoły akademickie się nie rozsypią, a nauka polska pójdzie dalej swoją drogą. Tego rodzaju stanowisku nie można nie zarzucić karygodnej lekkomyślności. Szkoła akademicka albo staje na najwyższej wyżynie swych możliwości, ablo staje się poronionym płodem. Prawdziwa nauka i prawdziwa kultura należy do najwyższych celów, do jakich dążyć może duch ludzki, pseudo-wykształcenie i pseudo-kultura jest opłakanem jego poniżeniem i kalectwem. A śmiem twierdzić, że najwyższy poziom nauki i najwyższy poziom kultury nie jest potrzebą jakiegoś grona wydelikaconych dyletantów, lecz jest w dzisiejszych ciężkich

czasach jednym z naczelnych interesów każdego narodu i każdego państwa.

Jeden z czołowych polityków francuskich powiedział niedawno, że w pewnych kwestjach mężowie stanu nie mają prawa się mylić. Miał na myśli politykę międzynarodową. Otóż byłoby rzeczą nader smutną, gdybyśmy w Polsce spraw duchowego porządku zaliczać nie mieli do tych najważniejszych, w których pomyłka jest niedopuszczalne. Czy istotnie wystawia sobie ktokolwiek, że jest rzeczą obojętną dla naszej przyszłości, jaki będzie poziom i jaka wewnętrzna wartość tego wykształcenia, z jakiem ogromne rzesze inteligencji, wychodzącej z uniwersytetów, będą wykonywać niezliczone swe czynności, stanowiące jakby żywotne funkcje nowoczesnego społeczeństwa?

W każdym razie stwierdzić należy, że jeżeli profesorowie szkół akademickich w Polsce z uderzającą zgodnością i odwagą wypowiedzieli się przeciwko nowej ustawie, to spełnili oni tylko swój święty obowiązek. Jeżeli, mimo tak licznych i tak poważnych przestróg, ten projekt, który nam się wydaje lekkomyślny i złowrogi, stanie się ustawą obowiązującą, to świat naukowy polski niewątpliwie zdania swego nie zmieni, lecz apelować będzie wytrwale do tej instancji, która bezapelacyjnie wyrokuje w historji, mianowicie do przysłości.

ADAM ŻÓŁTOWSKI

BARUCH — DORADCA PREZYDENTÓW

Depesze dzienników doniosły, że bankier Baruch przedstawił komisji finansowej senatu amerykańskiego program sanacji gospodarczej świata, oparty przedewszystkiem na rewizji traktatu wersalskiego. Z depesz tych dowiedzieliśmy się jednocześnie, że bankier Baruch był doradcą prezydenta Wilsona.

Kto zacz jest ten doradca prezydentów?

Przed laty mniej więcej sześćdziesięciu w południowej Karolinie w Stanach Zjednoczonych przyszedł na świat w rodzinie żydowskiej Bernard M. Baruch, dzisiejszy doradca w Białym Domu. Ojciec jego był lekarzem i młody Baruch sposobił się początkowo w tym kierunku. Ale pociągały go bardziej sprawy ekonomiczne i finansowe. Młody Baruch nie miał wielkiego zmysłu do teorji, jego pasjonowała praktyka. „Rób dolary, mój synu, rób dolary“ — to refren popularnej piosenki amerykańskiej. Tę piosenkę znał Bernard Baruch. Mając lat dwadzieścia kilka, wstąpił jako kancelista do firmy A. A. Housman and C° na Wall Street w New-Yorku. Na tej ulicy bankierów, giełdziarzy, finansistów i wszelkich spekulantów Baruch nie tracił czasu napróżno.

Na początku bieżącego stulecia opuszcza swoje zajęcie kancelisty, staje się członkiem giełdy nowojorskiej, co nie jest rzeczą łatwą, bo członkostwo to trzeba mieć przekazane testamentem przez zmarłego członka giełdy lub nabyte od członka wycofującego się czy zbankrutowanego. A to kosztuje kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Skąd wziął, bliżej niewiadomo, ale dolary Baruch miał, kilkadziesiąt tysięcy zapłacił. I został członkiem giełdy. Kupował i sprzedawał akcje, organizował różne przedsiębiorstwa. „Pracował“ w kaloszach, w tytuniu, a przedewszystkiem w metalach. W Stanach Zjednoczonych żydzi mają monopol zwłaszcza na rynkach metalowych.

Baruch został giełdziarzem-finansistą. Oczywiście z dolarami. Przed wojną poznał osobiście Wilsona. W jakich okolicznościach i kiedy, trudno ustalić obecnie. Czy wtedy, kiedy Wilson był jeszcze profesorem, czy wonczas, gdy przebywał już w Białym Domu, nie wiadomo. Baruch co do tego zachowuje dyskrecję. Pewne jest tylko to, że z prezydentem Wilsonem widywał się Baruch często, odbywał z nim narady. Ważne widać były owe narady, skoro prezydent tak potężnego państwa poświęcał na nie swój czas, przecie drogocenny. W roku 1915 Baruch zaangażował część swoich kapitałów w przemyśle wojennym. „Przyszło“ mu bowiem na myśl, że Stany Zjednoczone mogą prowadzić wojnę oraz że „musi nastąpić jakaś mobilizacja przemysłu“. Skoro Baruchowi „przyszła“ na myśl taka idea, poprosił prezydenta Wilsona o rozmowę. „Wytłumaczyłem prezydentowi Wilsonowi“ — mówi Baruch — „jak tylko umiałem najpoważniej, że jestem głęboko poruszony koniecznością mobilizacji przemysłu w kraju. Prezydent słuchał bardzo uważnie i uprzejmie, jak to ma we zwyczaju... a gdy usłyszałem o tej sprawie następnie, w parę miesięcy później, zwrócono moją uwagę na Radę Obrony Narodowej. Zwrócił na nią moją uwagę sekretarz Baker. Po raz pierwszy wówczas spotkałem sekretarza wojny. Zapytał mnie, co o tem myślę. Powiedziałem, że wolałbym coś innego“. Wolałby coś innego! Co za machinacje musiały być uprawiane za kulisami tych rozmów Barucha z prezydentem Wilsonem... Trzeba mieć przytem na uwadze, że Baruch był wówczas *Strohmann*'em Guggenheimów z rodu Mayerów i Izaaków, amerykańskich królów miedzi. Baruch został członkiem Komisji doradczej podległej Radzie Obrony Narodowej, na której czele stało sześciu ministrów. Komisja doradcza, której Baruch został członkiem, posiadała skromną nazwę, ale rozległe kompetencje. Od Barucha zależało, „czy wojsko i flota mają coś otrzymać, czy ma coś otrzymać administracja kolei żelaznych albo sprzymierzeńcy, czy lokomotywy mają być użyte w Rosji, czy we Francji... Prawdopodobnie posiadałem“ — powiada sam o sobie — „większą władzę, niż ktokolwiek w czasie wojny“. Władza Barucha rozciągała się nad: 1) użytkowaniem kapitału w prywatnych przedsiębiorstwach amerykańskich, a ta kontrola była w gruncie rzeczy dyktaturą finansowo-przemysłową, scentralizowaną w rękach grupki kapitalistów; 2) surowcami, a w tej dziedzinie „rzeczoznawcami“ czyli kontrolerami byli Guggenheimowie, Rosenfeldowie, Eisenmannowie i paru innych giełdziarzy i spekulantów; 3) przemysłem, bo Baruch miał pod swoją kontrolą około 357 różnych działów przemysłu Stanów Zjednoczonych, czyli w istocie cały przemysł Stanów, a w rzeczywistości wszystkie niemal surowce na świecie; sprawował on przytem władzę w zakresie klas ludności, podlegających powołaniu do służby wojskowej i władzę nad robotnikami w Stanach Zjednoczonych.

Baruch decydował, czy i co ma dostać flota, wojsko, koleje, administracja, czy i co ma dostać rząd i ludność cywilna i czy mają co dostać sprzy-

mierzeńcy. Baruch kontrolował cały przemysł amerykański. Ustalał ceny towarów, ustalał wysokość zarobków.

Kierownictwo „*American Federation of Labour*“ czyli Amerykańskiego zrzeszenia robotników spoczywało w rękach Samuela Gompersa, żyda, który w roku 1919 powierzył rabinowi Stephenowi Wise przywództwo Zjednoczenia związków robotników przemysłu stalowego. A rabin nowojorski S. Wise to była „szara eminencja“ prezydenta Wilsona. Co za machinacje działy się pod protektoratem prez. Wilsona...

Przy takiej władzy dyktatorskiej i takich stosunkach Baruch rządził pieniądzem i pracą. Robotnicy chcą wyższych zarobków? Gompers, wódz robotników amerykańskich, domaga się podwyższenia płac? Dobrze, podwyższymy płacę, zgadza się Baruch, bo wie, że wzrośnie przez to autorytet Gompersa, który jest potrzebny w tej całej grze. Ale Baruch wpłynie jednocześnie na zwyżkę cen artykułów pierwszej potrzeby, i — rachunek na rzecz kapitału zostanie wyrównany. Baruch ustalał ceny na towary i ustalał także wysokość zarobków. Koszty utrzymania, czyli ceny towarów, były zawsze wyższe od zarobków.

Podczas wojny Baruch był wszechmocny w Stanach Zjednoczonych.

Jako człowiek Guggenheimów, królów miedzi, obmyślił i przeprowadził niezwykle „patrjotyczny“ interes. Wydał rozporządzenie, żeby wszelkie tranzakcje, dotyczące zakupów i sprzedaży metali, były dokonywane z Amerykańskiem towarzystwem hutniczem i Amerykańskiem towarzystwem sprzedaży metali. Otóż Amerykańskie towarzystwo hutnicze jest własnością Guggenheimów, zaś Amerykańskie zjednoczone tow. sprzedaży metali stanowiło własność Lewisohna. „Podział prac“, czyli zakreślenie terenów do zgarniania zysków, ustalono w ten sposób, że grupa Lewisohna objęła handel ze Stanami, a zaś Guggenheimowie robili interesy zagraniczne ze sprzymierzeńcami. Dla celów porozumiewawczych z rządem utworzono specjalny Komitet, składający się z trzech osób, pracujących u Guggenheimów. Tę cudownie obmyśloną kombinację zorganizowano, zanim jeszcze Stany przystąpiły do wojny. Wtedy królowie miedzi okazali wielką ofiarność. Zaofiarowali rządowi tyle miedzi, ile będzie potrzeba dla celów wojennych. Mieli jej przecież tyle, że nie wiedzieli, co z nią robić, obawiali się przytem zniżki cen. Ofiarność swą posunęli królowie miedzi do wspaniałomyślności: zadeklarowali, iż miedź będą sprzedawać po takiej cenie, jaka zostanie wyznaczona. Nie chcą dyktować cen, przyjmą cenę, wyznaczoną przez organy rządowe. Zresztą, oni wogóle nie mówią o pieniądzach. Pieniądze to drobnostka, nie warto mówić. Niechaj rząd bierze miedź, ile chce. Mówiło się wtedy dużo o patrjotyzmie Guggenheimów i tej ogromnej ofierze, jaką złożyli na ołtarzu potrzeb ojczyzny amerykańskiej. Bo na rynku miedź była po 32—35 centów za funt, a rząd płacił Guggenheimom po 27 centów za funt, zakupiwszy prawie sześćset miljonów funtów miedzi za 160 miljonów dolarów. Ale trudno: cena urzędowo wyznaczona. A cenę wyznaczał Baruch, *Strohmann* królów miedzi, członek Komisji doradczej, w owe czasy dyktator zupełny, pan wszechmocny całokształtu gospodarki w Stanach Zjednoczonych. Baruch — ekspozytura kapitału żydowskiego, który w czasie wojny pełnił w Stanach władzę autokratyczną.

A sedno rzeczy w tem, że gdy się skończyła wojna, rząd Stanów miał tak olbrzymie zapasy miedzi, iż nie wiedział, co z niemi począć. Rząd postanowił tę miedź sprzedać. Oczywiście, po cenie wyznaczonej. Wyznaczał Baruch, jako przewodniczący Izby przemysłu wojennego. Rząd otrzymał po 15 centów za funt. Królowie miedzi zrobili doskonały interes. Sprzedali rządowi po 27 centów za funt, a od rządu odkupili własną miedź po 15 centów. Raz zarobili sprzedając, zaś odkupując — zarobili po raz drugi. Kontrakty obmyślał Baruch. Rząd kupował za pośrednictwem swego specjalnego komitetu, w którym reżyserował sprawy także Baruch. Królowie miedzi sprzedawali towar rządowi, czyli sobie, jako członkom rządu. A gdy odkupywali znów zapasy od rządu, to właściwie odkupywali od siebie, jako od członków rządu. Cenę wyznaczał rząd, czyli *Strohmann*'owie królów miedzi, jako członkowie rządu. Jak wspaniale wyreżyserowane— pod protektoratem idealistycznego prez. Wilsona... Dzięki Wilsonowi został Baruch w czasie wojny dyktatorem, dyktatorem nieznanym, bo społeczeństwo nic o nim nie wiedziało. Nie koniec na tem. Wilson wezwał Barucha do Paryża, gdzie był doradcą ekonomicznym, pozostającym „w stosunkach z amerykańską misją pokojową“, i „dawał“ — jak sam powiada — „prez. Wilsonowi rady, ilekroć ich od niego zażądał“. Był członkiem Najwyższej Rady Ekonomicznej w dziale surowców. Brał często udział w konferencjach pięciu szefów rządów, tak zwanej „wielkiej piątki“. Wrócił wraz z prezydentem Wilsonem. Wogóle, należał do najbliższego otoczenia Wilsona i za kulisami Baruch odgrywał wielką rolę. A to najbliższe otoczenie Wilsona stanowili, oprócz Barucha, człowieka Guggenheimów i Lewisonów, kapitaliści żydowscy z Nowego Yorku: Morgentau, Elkan, Kahn, Loeb, Schiff i „szara eminencja“ — rabin S. Wise.

W takiem otoczeniu powstał i preparował się pomysł Ligi Narodów dla znękanej Europy.

Na froncie prezydent Wilson. Za kulisami Baruch, rabin Wise, Schiff, Loeb, Guggenheimowie.

„Na froncie Clemenceau i Lloyd George. Za kulisami p. Paweł Mantoux, jeden z najświetniejszych przedstawicieli żydostwa na konferencji“ i sekretarz osobisty p. Clemenceau oraz p. Philip Sassoon, sekretarz i doradca Lloyda George'a, ten Sassoon, którego matka, Rotschildówna z domu, a dziadek Dawid zrobił miljony na giełdzie, na bawełnie, na opjum.

Pan Bernard Baruch, dyktator Stanów Zjednoczonych podczas wojny, doradca prez. Wilsona, reżyser wielu spraw wielkiej wagi, działający za kulisami, członek finansjery żydowskiej w Ameryce, pochodzącej z Niemiec.

W dniach ostatnich p. Baruch wypłynął na widownię. Depesze donoszą o nim, jako o doradcy finansowym nowego prezydenta—Roosevelta. Więcej: Baruch ma już plany uzdrowienia świata i wybawienia go z kryzysu. Kamieniem węgielnym tego planu miało być wywrócenie traktatu wersalskiego. Baruch jest, jak widać, pełen wigoru i przystępuje do nowej, wielkiej *combinazione*.

Komu teraz służy p. Baruch?

WŁADYSŁAW WOLERT

O „HOROSKOP FILOZOFICZNY"

SĄ ZAGADNIENIA, które przedstawiają specjalną trudność tym, którzy chcą je rozwiązać, czy choćby tylko uporządkować. Do takich należy bez wątpienia olbrzymi temat — tak dziś aktualny — kryzysu cywilizacji. Publicystyka polityczna coraz częściej wchodzi na teren historjozofji, kto atoli chce głębiej ująć to zagadnienie, ten staje przed gąszczem problematów i wprost nie wie, od czego zacząć, na co zwrócić szczególną uwagę. W takich wypadkach dobrze jest skorzystać z czyjejś pracy, — z cudzej opinji, którą się uważa za niezbyt słuszną lub wręcz niesłuszną i drogą polemiki wypowiedzieć szereg tez pozytywnych. Owa obca opinja staje się jakby pyłkiem, który — jak to wiadomo z fizyki — pomaga do skroplenia się luźnych mgiełek, do krystalizacji własnych poglądów.

Rolę takiego katalizatora pozwoliłem sobie przeznaczyć artykułowi p. St. Szpotańskiego p. t. „Horoskop Filozoficzny", ogłoszonemu w nr. 4 „Kurjera Warszawskiego", gdyż historjozofja jego autora, choć w wielu miejscach błędna, wychodzi jednak z założeń słusznych, których jedynie nie umie głębiej ująć i konsekwetnie przeprowadzić, zwłaszcza, że ogranicza się w analizie do stosunkowo niewielkiego okresu czasu, który nie może dać należytej perspektywy. Zanim przeto dojdę do swych własnych rozważań, przytoczę obszerne ustępy z artykułu p. Szpotańskiego, aby wejść *in medias res* zagadnienia[1]).

Autor „Horoskopu Filozoficznego" stawia tezę, iż w obecnym okresie dziejów „myśl ludzka wchodzi w orbitę matematyczną t. j. matematyka zaczyna przodować nauce", jak o tem ma świadczyć rozwój astrofizyki i fizyko - chemji. „Co to zapowiada w stosunku do naszych ziemskich losów, w stosunku do naszych układów życiowych" — pyta p. Szpotański i wyjaśnia tak zagadnienie:

„Trzeba uprzytomnić sobie, jakie znaczenie dla życia społecznego miały wielkie myślowe kierunki i układająca się na ich tle hierarchja nauk. Ostatnio t. j. w ostatniej epoce cywilizacji łacińsko-zachodniej zaważyły kierunki dwa — kierunek humanistyczny i kierunek przyrodniczy. Humanizm, stawiając, z natury rzeczy, wysoko jednostkę ludzką, ceniąc jej wolną wolę i jej zdolność do afirmacji i uważając jednocześnie te właściwości jako motory społecznego rozwoju, postawił sobie, w socjologicznem swojem zastosowaniu, ideał harmonji między jednostką a społeczeństwem, dający się wyrazić w słowach: wolna jednostka w wolnem społeczeństwie. Stąd z ducha humanizmu wyrosły konstytucje, gwarantujące narodowi przez przedstawicielstwo parlamentarne wpływ na swoje losy, wyrosła demokracja i, jako kanon etyczny — humanitaryzm.

Kierunek przyrodniczy, przez socjologję zasymilowany, choć przez długi czas z humanizmem w jakiej takiej pozostawał zgodzie, a nawet w demokratycznych swoich dążeniach go prześcigał, kwestjonując wolną wolę jednostki, zmierzał przez to samo do typu społeczeństwa zmechanizowanego, mającego swój pierwowzór w świecie zwierzęcym.

Niema najmniejszego pokrewieństwo między socjalizmem a Darwinem, a jednak istnieje zależność socjalizmu od Darwina przez to, że socjalizm wprowadził w siebie zniekształconą myśl darwinowską — zniekształconą przez samo rozciągnięcie jej na prawa społeczeństwem ludzkiem rządzące.

Humanizmowi niebezpieczeństwa takie nie groziły, choćby go nawet socjolog różnie interpretował; nie groziły, bo on ludzkość za przedmiot swój mając, z niej na nią rzucał światło, gdy w pierwszym przypadku ze świata zwierzęcego światło na nią rzucone zostało. W humanizmie rozumiano człowieka przez człowieka, w tamtym kierunku zaczęto rozumieć człowieka przez zwierzę.

Tak go zaczął rozumieć nie przyrodnik, lecz asymilujący przyrodnika socjolog.

I kiedy myśl ludzka z powodu dominującego kierunku przyrodniczego zaczęła kwestjonować wolność woli, bo to jest najważniejsze, to jednocześnie zarysowały się możliwości stworzenia społeczeństwa zmechanizowanego, które zrealizowały się w Rosji sowieckiej.

Jednem słowem konstelacja humanistyczna prowadziła nas do wolnej demokracji, konstelacja przyrodnicza do państwa socjalistycznego, a dokąd nas prowadzi konstelacja matematyczna?

W duchu jej leży to, że powinna nas prowadzić do odrodzenia religijnego, co oczywiście mieć by musiało wielkie konsekwencje socjalne. Matematyka operuje pojęciem nieskończoności i rzecz prosta, że ten, co pojęcie to rozumie, ma w sobie religijnego ducha. Matematycy, nie mówiąc już o Pascalu, tak, jak artyści, są religijni — reagują na nieskończoność i patrzą w wieczność".

Tyle p. Szpotański. Ze swej strony, pragnąc pogłębić zagadnienienie, pozwolę sobie rzucić je na płaszczyznę wieków znacznie szerszą, niż to czyni cytowany autor: na całość myśli filozoficznej Europy. Natomiast dla utrzymania kontaktu z wątkiem wywodów p. Szpotańskiego wezmę za punkt wyjścia jego rozróżnienie między „humanizmem" a „kierunkiem przyrodniczym" i stwierdzenie ich myślowego antagonizmu.

Już w Grecji starożytnej zarysowały się dwie tendencje w rozumieniu świata. Jedna, wywodząca się od Demokryta i sofistów, a najpełniejszy wyraz znajdująca w Epikurze, posiada wyraźne zabarwienie materjalistyczne. Wszystko, co istnieje, sprowadza do jednego pierwiastka (atomu) — jest to więc monizm materjalistyczny. Uważa świat za pozbawiony sensu i celu, wszelkie zmiany tłumaczy działaniem mechanicznem przyczyn (kauzalizm). Nie wierzy w żadne siły nadnaturalne, żaden porządek moralny, a tem samem nie stawia nakazów moralnych, lecz podaje przepisy i rady, jak żyć z największym pożytkiem dla siebie, jak osiągać największą przyjemność. Często łączy z wymienionemi cechami subjektywizm i wybujały, hedonistyczny indywidualizm, czasem przeciwnie, ujmuje społeczeństwo jako stado.

Przeciwstawia się tej tendencji inna, wyłaniająca się — być może — z orfizmu i pitagoreizmu, a szczyt swój osiągająca w Platonie i Arystotelesie. Można ją nazwać idealistyczną. Monizmowi

---

[1]) Pragnąłem początkowo rozpocząć przyjazną dyskusję w porozumieniu z p. Szpotańskim i w tym celu przesłałem mu rękopis artykułu (z innym oczywiście wstępem). Jednakże wobec braku odpowiedzi, potwierdzenia odbioru i ew. zwrotu rękopisu (co sobie zastrzegłem), czuję się zwolniony z potrzeby dalszej korespondencji w tej materji (autor).

przeciwstawia spirytualistyczny pluralizm: nie sprowadza duszy do ciała, a organizmu żywego do zespołu atomów. Widzi w świecie ład i cel, nie odrzucając przyczyn sprawczych, stwierdza istnienie przyczyn celowych (finalizm), a co za tem idzie Bóstwa. Ład i porządek świata ujmuje z punktu widzenia moralnego, a i człowiekowi wyznacza zadania moralne; nie uważa wszystkiego, co naturalne, za dobre, lecz przeciwnie, każe walczyć ze złemi stronami swej natury w imię wyższych ideałów etycznych. Uznaje godność człowieka jako jednostki duchowej, ale bierze go w surowe karby, zarówno religijne jak społeczne („Rzeczpospolita" Platońska), uznając społeczną naturę człowieka („*zoon politikon*" Arystotelesa).

Oczywiście trudno jest konsekwentnie przeprowadzić linję demarkacyjną tych dwóch tendencyj na tle biegu cywilizacyjnego ludzkości, na przykładzie żywych ludzi. W umysłach filozofów, a jeszcze bardziej w potocznych opinjach tendencje te krzyżowały się, łączyły, tworzyły niesamowite amalgamaty. Ale ogólne ich kontury dawały się zawsze wyczuwać i sądzę, że rozgraniczenie moje zgodne jest pod tym względem z rozróżnieniem pana Szpotańskiego między kierunkiem humanistycznym a przyrodniczym.

Jakież były losy tych dwu tendencyj? Początkowo przewagę osiągnęła tendencja pierwsza (Epikur). Ale już w I wieku przed Chrystusem zwyciężył Platon i królował w różnych warjantach aż po wiek XIII, kiedy dojrzała w pełni myśl chrześcijańska, uosobiona w genjuszu św. Alberta i św. Tomasza, posłużyła się myślą Arystotelesa dla filozoficznego wyłożenia swych wiecznych prawd. Zdawało się, że gmach myśli ludzkiej został wykończony, i to tak niewzruszenie, że nic go obalić nie zdoła. Tymczasem runął pod ciosami filozofji XIV, XV i XVI wieku, i to tak gruntownie, że odtąd utrwalił się na wieki przesąd o „ciemnem średniowieczu", o którem uczono nas jeszcze w szkołach, a już Kartezjusz miał poczucie, że trzeba zaczynać na nowo, od początku.

Dlaczego tak się stało? Nie kuszę się o wytłumaczenie tego zjawiska, gdyż niemożliwością jest przedstawienie olbrzymiego kompleksu zagadnień cywilizacyjnych, politycznych, ekonomicznych, społecznych. Pragnę jednak zwrócić uwagę na jedną z przyczyn filozoficznych. Tkwi ona w błędzie, jaki popełnił Arystoteles, uważając przyrodę nietylko żywą, lecz i martwą za substancjalną, jakościową, dynamiczna i celową, innemi słowy (używając określeń prof. Tatarkiewicza z jego znakomitej „Historji Filozofji") — widząc osnowę zjawisk nie w abstrakcyjnych stosunkach (jak Platon i pitagorejczycy) lecz w konkretnych substancjach, mając jakościowe własności rzeczy za bardziej istotne od ilościowych, dopatrując się w zjawiskach fizycznych (wbrew Demokrytowi) działania samorzutnych sił i tłumacząc ich działanie jako dążenie do celu. Stąd padanie kamienia lub wznoszenie się dymu tłumaczył jako ich celowe dążenie do właściwego każdemu miejscu. Stąd owo „*natura horret vacuum*", tak nielitościwie wyszydzane przez nowoczesną fizykę od czasów doświadczeń Torricellego. Dziś coprawda, w świetle nowoczesnych badań fizyko-chemicznych (teorja kwantów) słychać głosy, że może nie wszystko w tych teorjach fizycznych Arystotelesa jest takie zupełnie błędne, że jego pogląd na energetyczną naturę bytu ma może pewne podstawy, ale dotyczy to właściwie całkiem innych zagadnień, o których filozof grecki nic nie wiedział. Jedno jest pewne: w ówczesnym stanie wiedzy i przez następne stulecia Arystoteles, tak wielki i twórczy w innych dziedzinach — w dziedzinie przyrody martwej zahamował postęp nauk[2]). To spowodowało jego niepopularność, datującą się w pełni od XV wieku, a niechęć do perypatetyckiej fizyki rozszerzyła się na cały arystotelizm, co więcej — na całą scholastykę. Gdy na przełomie XVI i XVII w. zaczęto tworzyć nowe systemy filozoficzne, Arystoteles uchodził za szkodnika, którego należy zwalczać we wszystkich dziedzinach nauk. Odrzucono więc i to, co w jego systemie było słuszne.

Błąd Arystotelesa, wychowanego i wykształconego w środowisku lekarsko-przyrodniczem, wypłynął z tłumaczenia zjawisk fizycznych przez analogję ze zjawiskami przyrody żywej. Błąd ten naprawił Galileusz, powracając do jedynie właściwej przy badaniu nauk fizycznych i astronomicznych — metody matematycznej i do tłumaczenia ich, jak niegdyś Demokryt, na drodze szukania mechanicznie działających przyczyn. Ale filozofja w. XVII, zwalczając jednostronność Arystotelesa, wpadła w błąd całkiem przeciwny: sądziła, że wszystko (prócz zjawisk duchowych) da się wyjaśnić metodą matematyczną; tłumaczyła zjawiska życia przez analogję do zjawisk fizyki martwej. Stąd mechanizm kartezjański. Spinoza poszedł jeszcze dalej: tak wierzył we wszechmoc matematyki, że swą „Etykę" przedstawił w formie twierdzeń matematycznych, „*Ethica, ordine geometrico demonstrata*". Trzeci wielki filozof tych czasów, Hobbes, przejęty postępami mechaniki, opartej na matematycznej podstawie, głosił już otwarcie materjalizm, zmuszając Kartezjusza do obrony swego dualizmu duszy i ciała. A nie jest również przypadkiem, że materjalizm XVIII w. (La Mettrie, Holbach) uznawał za swych mistrzów nietylko Demokryta, Gassendiego i Hobbesa, ale również Kartezjusza i Spinozę. Tak więc matematyczno-fizyczna orjentacja XVII wieku, choć wydała tak obce materjalizmowi systemy jak Malebranche'a i Leibnitza, jednak doprowadziła do materjalizmu.

Łączyło się z nim odnowienie naturalizmu, nawet u niematerjalistycznych filozofów. Naturalistyczny był system Spinozy, który naturę uznawał za jedno z Bóstwem i tem samem postępowanie naturalne uważał za postępowanie słuszne. Ponieważ zaś cała przyroda jest mechanizmem, przeto myśliciel żydowski opowiadał się za determinizmem i przeczył wolności woli u człowieka. Naturalizmem religijnym był deizm, dążący do znalezienia prawd religijnych na drodze naturalnego rozumu, co umacniało pierwiastki indywidualistyczne, zapoczątkowane już przez Lutra, gdyż każdy był uprawniony do samodzielnego komentowania już nietylko Pisma Św. lecz i wogóle zagadnień religijnych. A Hugo Grotius odnowił teorję umowy społecznej, która prowadziła do zaprzeczenia arystotelesowskiej (i tomistycznej) tezie o przyrodzonym stanie społeczeństwa, a tem samem (w myśl zasady: tylko to dobre, co naturalne) uczyła niechętnie patrzeć na wszelki ustrój społeczny i negować prawdziwość istnienia więzów moralnych, spajających społeczeństwo.

---

[2]) Dotyczy to nietylko fizyki i mechaniki, ale i astronomji, w której Arystoteles porzucił przyjętą przez Platona teorję pitagorejską o krążeniu ziemi naokoło pewnego ośrodka, uznał ją za nieruchomy ośrodek świata, a sfery gwiezdne za poruszane przez istoty boskie. Autorytetem swym sprawił, że i późniejsze hypotezy heljocentryczne (Arystarch, III w. przed Chr.) nie przyjęły się, i dopiero Kopernik musiał po raz wtóry (nie znając Arystarcha) odkrywać tę prawdę.

Z teorji umowy społecznej wypłynęły dwie przeciwstawne teorje: jedna (Hobbes) uważała ludzi za istoty z gruntu egoistyczne, które bez skrępowania umową społeczną szkodziłyby sobie i walczyły jak zwierzęta o jadło (*„Homo homini lupus“*). Państwo powstało nie z natury ani z instynktu, lecz z obawy i rozsądku; dopiero wraz z państwem powstało prawo, obowiązki oraz objektywna miara dla dobra i zła. Ponieważ nie istnieje społeczeństwo jako całość moralna, przeto mechaniczne działanie absolutnego państwa, etatyzacja wszystkiego aż do dóbr moralnych ratuje ludzi od anarchji. Od Hobbesa, zwolennika absolutyzmu królewskiego, pochodzą w pierwszym rzędzie nowoczesne teorje niektórych dyktatur i tak zbliżone do nich — bolszewickie. Hobbesowi wtóruje Spinoza, który łączył liberalizm religijny z etatystyczną koncepcją władzy państwowej[3]) i którego obecni władcy Kremlu na uroczystych obchodach sławią wraz z Heglem jako swego poprzednika, bodajże silniej, niż przyrodnika Darwina.

Tak wyglądała i taki wpływ wywarła pierwsza z teoryj, wypływających z zasady umowy społecznej. Ale był i prąd drugi, którego głównym reprezentantem był Locke. Ten przyrodnik i lekarz uzasadnił filozoficznie dążenia liberalno-parlamentarne. Uznając człowieka za *„tabula rasa“*, czystą, niezapisaną kartę, bez żadnych idej wrodzonych, nawet moralnych, nie uznawał go za istotę społeczną, najcenniejszy jego przywilej widział w wolności, w nieskrępowanem niczem kształtowaniu swej psychiki. Dążył do ograniczenia praw państwa, indywidualizm społeczny łączył z religijnym. Miejsce obowiązków wobec swego kraju zajęła w teorji Locka lojalność umowy, zawartej dla własnego interesu. Stąd już był krok tylko do utylitaryzmu w etyce i liberalizmu w polityce, w pierwszej uczynił to Bentham, w drugiej twórcy Deklaracji Amerykańskiej oraz wersalskiej Deklaracji Praw Człowieka, w której „przedstawiciele ludu francuskiego“ obwieścili, że „nieznajomość, zapomnienie lub wzgarda praw człowieka są jedynemi przyczynami nieszczęść w społeczeństwie“, poczem konsekwentnie orzekli, że „celem wszelkiego zrzeszenia politycznego jest utrzymanie przyrodzonych i nieulegających przedawnieniu praw człowieka“, a mianowicie: „wolności, własności, bezpieczeństwa i oporu przeciw uciskowi“. A przecież w historji mamy przykłady społeczeństw, realizujących powyższe postulaty: demokracja ateńska i demokracja szlachecka w Polsce. Ani jednej, ani drugiej liberalizm nie uchronił od „nieszczęść społecznych“. Pierwsza po przejściowym rozkwicie w okresie jednego pokolenia zwyrodniała w demagogiczną ochlokrację i wpadła w niewolę Sparty, druga po bujnym rozwoju od wystąpienia Zamoyskiego do śmierci Władysława IV, wyjałowiała, zatraciła wszelką myśl polityczną i właśnie w chwili uchwalania „Deklaracji Praw Człowieka“, zagrożona śmiertelnie, rozpoczynała mające ocalić kraj reformy, które w wielu wypadkach szły w kierunku przeciwnym liberalizmowi.

Wcześniej jeszcze, niż deklaracje, szerzyła te same teorje „Umowa społeczna“ Rousseau. Rozpoczynała się ona suggestywnem zdaniem: „Człowiek rodzi się wolny, a wszędzie znajduje się w kajdanach“, zdaniem, o którem powiedział z ironją Emil Faguet, że jest mniej więcej równie słuszne, jak twierdzenie: „Baran rodzi się mięsożerny, a wszędzie źre trawę“. Wiadomo, że Rousseau, wychodząc z subjektywistycznej, indywidualistycznej i liberalnej koncepcji, doszedł w konkluzji do zachwalania ustroju, w którym despotyzm większości równał się niemal despotyzmowi monarchy u Hobbesa; przykład, jak niewiele jest przeszkód duchowych w przejściu od jednej postaci naturalizmu do drugiej. Wiadomo również, że ze szkoły myślowej Rousseau wyszli terroryści Konwentuw, szczególności Robespierre z towarzyszami. Istotnie, gdy się uważa człowieka za cnotliwego z natury, a przyczyny nieszczęść upatruje we wzgardzie praw człowieka, dochodzi się — jak napisał któryś ze współczesnych filozofów — do dzikiej pasji wyrżnięcia wszystkich, którzy, skorrumpowani cywilizacją, nauczyli się przez pokolenia temi prawami gardzić.

Francuska demokracja parlamentarna, choć nie operuje gilotyną, pozostała wierna zasadom Rousseau i Robespierre'a: w 1879 i 1880, po ustąpieniu Mac Mahona politycy „liberalni i demokratyczni“, z Gambettą na czele, rozpoczęli masowe rugi polityczne z urzędów państwowych, znieśli nieusuwalność prezesa sądu apelacyjnego, a resztę sędziów zawiesili bezterminowo (trwa to do dnia dzisiejszego), a wreszcie w dziedzinie szkolnictwa stali się uczniami Napoleona I, a wzorem dzisiejszych dyktatur. Z zasad, proklamowanych przez Deklarację Praw, ostała się w praktyce przedewszystki wolność prasy, z której zresztą najwięcej korzyści ciągną wydawnictwa pornograficzne.

Tak więc oba przeciwstawiane dziś poglądy: etatystyczny i liberalny posiadają wspólny punkt wyjścia, a często i wspólne dają rezultaty[4]). Aby je przezwyciężyć, trzeba wyjść poza tę alternatywę, do której ciasnych ścianek wpędził nas naturalizm, trzeba go samego przezwyciężyć, przezwyciężyć jednostronność i błędy myśli nowoczesnej. Czy wracać do średniowiecza? Bynajmniej, bo i ono błądziło. Trzeba przedewszystkiem przestać sprowadzać do siebie dziedziny, które się sprowadzić nie dadzą. Ogromną zdobyczą dwóch nieudanych i ciężkich, a przez to cennych doświadczeń (bo tylko przez bolesne cięgi losu uczy się zarówno pojedyńczy człowiek, jak i ludzkość cała) jest stwierdzenie, że innych zgoła metod naukowych (i innych założeń filozoficznych) wymaga badanie świata martwego, innych przyrody żywej, innych jeszcze — ludzkiego ducha. Żywy ruch na tem polu, zwłaszcza w Niemczech, opracowujących metodologję nauk humanistycznych, rokuje nadzieje może nie mniejsze, niż odkrycia astronomiczne i fizyko-chemiczne. Kryzys ekonomiczny, wyrywający ludzkość ze słodkiej drzemki i stawiający oko w oko z niewiadomą a groźną przyszłością, związany z nim kryzys pojęć i dogmatów XIX wieku, eksperyment faszystowski i potworne laboratorjum bolszewickie, probujące tworzyć nową cywilizację, zbliżoną do starożytnych, opartych na niewolnictwie — wszystkie te odznaki wskazują, że stoimy u progu nowej epoki, o której nic nie wiemy, nawet może nie przeczuwamy. Jedno jest pewne: sama reforma nauk nie wystarczy. Niema odrodzenia cywilizacji bez odrodzenia moralnego.

JAN MOSDORF

---

[3]) W sprawie tej ob. niezwykle ciekawy artykuł p. Adeodatusa w nr. 50 „Myśli Narodowej“ z d. 13.XI.32 r.

[4]) Warto np. podkreślić, że do Darwinizmu nawiązuje nietylko etatystyczny socjalizm, lecz i liberalistyczna doktryna Spencera, osobistego przyjaciela i ucznia wielkiego przyrodnika.

OPERA POLSKA DAWNIEJ I DZIŚ

(PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTEM PRZEDSTAWIENIU JUBILEUSZOWEM W TEATRZE WIELKIM W WARSZAWIE)

UROCZYSTE przedstawienie „Cyrulika Sewilskiego“, urządzone dnia 23 b. m. przez Operę Warszawską ku uczczeniu setnej rocznicy działalności swej w gmachu obecnym, odbiło się echem radosnem w całej Polsce i mogłaby mieć na przyszłość znaczenie bardzo poważne, gdyby wszyscy uczestnicy pięknego obchodu przystąpili doń z wiarą, że stanie się on w tym stuletnim przybytku sztuki początkiem nowej ery, pomyślnej i w owoce bogatej. A wzbudzenie tej wiary i złączonych z nią postanowień nie powinno być trudne. Bo wszakże nie zebrano się w teatrze wieczora tego w innym jakim celu, tylko dlatego jedynie, aby wskrzesić dawną tradycję i odnowić związek, istniejący więcej niż od wieku, między operą, a polskiem społeczeństwem.

Lecz zanim będzie można omówić możliwość takiego, bardzo pożądanego dziś odnowienia, musimy się zwrócić koniecznie w stronę lat ubiegłych. Jeden rzut oka w przeszłość wystarczy, aby wzniecić w sercach i umysłach naszych uczucie wdzięczności i czci dla tylu przepięknych przeżyć artystycznych, tylu wspaniałych dzieł sztuki, tylu świetnych talentów, które na deskach tej sceny powstawały, rozwijały się i i chwałą jaśniały. Wystarczy przebiegnąć myślą i dzieje tej sali, której audytorjum niegdyś, porzuciwszy codzienną szarzyznę życia i jego nieuniknione troski, gromadziło się tu, w tem samem miejscu przez niezliczoną ilość wieczorów, aby odetchnąć atmosferą sztuki, ożywić zmysły i wyobraźnię dźwiękiem i słowem, kształtem i barwą, i obudzić w sobie odradzające duszę uczucia, upodobania, podziwy i zachwyty. Wystarczy to całkowicie, aby odczuć konieczność złożenia hołdu tej dwoistej osobie moralnej, jaką utworzyła scena z amfiteatrem wspólnie, dając całokształt dusz ludzkich, obustronnie płonących zapałem dla piękna. Złożenie tego hołdu jest obowiązkiem kulturalnego społeczeństwa, za jakie w oczach świata artystycznego Europy chcemy przecież uchodzić.

Ale nie jest to wszystko. Bo nam, w szczególności, nie wolno nigdy zapomnieć o tem, że w najcięższych latach naszej przeszłości Opera Warszawska była tym grającym na sercach naszych hejnałem, który nieustannie odzywał się nutą narodową, urągając wpływom obcym, a nawet zakazom nienawistnej nam władzy zaborców. Zakazy pastwić się mogły dowoli nad słowem, a zdołały nieraz zamknąć usta nawet melodji. Lecz bezsilne były całkowicie wobec narodowego ducha muzyki. I dlatego to w tem miejscu nasuwa się nam imię Stanisława Moniuszki, genjalnego przedstawiciela tej mowy potężnej, co tkwi w melodji i cuda nią czynić umie. Imię to w dzisiejszych czasach przez pewien odłam świata muzycznego niedość wysoko czczone, a nawet dla celów osobistych pomijane niekiedy, zasługuje w całej pełni na hołd powszechny, jaknajgorętszy, a już nigdzie właściwiej, niż na scenie Opery Warszawskiej, na której i dla której dzieła muzyki narodowej na świat przychodziły, serca polskie rozgrzewały i rosły w nieśmiertelną chwałę.

Aby ustosunkować należycie stan obecny Opery Warszawskiej do przeszłości, niema potrzeby zbytnio w szczegóły wchodzić. Wystarczy zwrócić uwagę na główne jej daty, które dziwnym zbiegiem wiążą się szczególnie z rokiem 33-cim każdego stulecia. Otóż, jeżeli o materjalny i narodowy byt chodzi, to na wiek XVII przypadają narodziny opery i jej niemowlęctwo — wiadomo, że pierwszem dziełem Polaka, Piotra Elerta była włoska opera „*La Fama reale*“, utworzona w roku 1633; na wiek XVIII przypada świetne, lecz cudzoziemskie wychowanie opery w Warszawie, otworzonej w r. 1733, a w dalszych dopiero latach przemówienie jej polskim językiem; na wiek XIX — wzniesienie dla niej okazałego przybytku, zasadnicze ustalenie języka polskiego, wzrost wreszcie artystyczny, pojawienie się w okresie moniuszkowskim dzieł operowych polskich, przewyższających wartością to, co opera zawdzięczała przed stu laty Kurpińskiemu i Elsnerowi. W pierwszych dwu okresach na istnienie włoskiej opery łożyli hojnie dwaj polscy królowie: Władysław IV i August III, w następnych latach zaczęło społeczeństwo zbliżać się do instytucji, nauczyło się chodzić do teatru, dzięki czemu egzystencja opery ustalała się coraz pewniej. Miasto Warszawa zbudowało gmach w r. 1833, a w kilkadziesiąt lat później, rząd rosyjski odnowił gmach, ofiarując na to sumę okazałą.

I tak doszliśmy do chwili obecnej. Wielkie, szczęśliwie zmiany w życiu naszem narodowem powinny wpłynąć korzystnie i na tę gałęź sztuki. Stało się jednak inaczej, gdyż dokoła opery wytworzyły się mnogie kwestje, zarówno u nas jak na całym świecie, kwestje, złączone silnie z ogólnym kryzysem światowym i ze zmianami powojennej epoki, lecz niemniej i czysto artystyczne, sięgające głęboko, aż do wnętrza opery, jako osobnego rodzaju sztuki.

Nie możemy tego ukrywać, że w tym czasie zainteresowanie się operą osłabło we wszystkich sferach znacznie. Nowe pokolenia wynalazły sobie cały szereg nowych wrażeń, upodobań i rozrywek. Wszystkie one stanęły na gruncie codziennego, trzeźwego realizmu, zdala od dawnych idealistycznych wzlotów romantyki, a więc i zdala od zasadniczego prawa złudzeń, na którem opera jako sztuka mówiona i śpiewana jednocześnie, głównie się opiera. Doszło więc do tego, że opera spotyka się dziś z lekceważeniem, jakiego dawniej nie znała, i że niekiedy słyszeć można zdanie — jakże to przykro powtarzać je w tem miejscu — iż stała się przeżytkiem. Gdybyśmy raz w to uwierzyli, to już kilka kroków tylko od usunięcia jej z programu naszego życia artystycznego... Na szczęście, gdy nadchodzi moment decyzji ostatecznej, to pojawia się w duszy naszej jakiś żal, jakaś tęsknota za melodją i wkrada się do głowy myśl ocalenia opery. Może przynajmniej w kilku jej najulubieńszych utworach... Komuś jednemu trudno się rozstać z melancholją „Halki“ i jej zadzierzystym mazurem, innemu żal za egzotyczną melodyką „Aidy“ lub wdziękiem i pikanterją „Carmeny“, ten znowu radby do końca życia zachwycać się uroczą liryką „Fausta“, a wszyscy chyba nie daliby się pozbawić „Cyrulika Sewilskiego“ za żadną cenę.

Inicjatorowie obchodu setnej rocznicy mieli też najzupełniejszą słuszność, wybierając na jubileuszowe przedstawienie tego właśnie „Cyrulika Sewilskiego“, którym przed stu laty otwarto Teatr Wielki. Jest to arcydzieło najczystszego szlifu. Mistrz Rossini, nie szukając dramatycznego patosu, któryby mu może wyrósł ponad głowę, ponad horyzont pogodnej i pełnej humoru myśli, zwrócił się do treści i formy najlżejszej, ale umiał w tem mistrzem pozostać. Jego „Cyrulik“ jest też dziełem tworzonem po linji „najmniejszego oporu“, przez krytykę nieraz zbyt ostro piętnowanego, „najmniejszy opór“ przy genjalnym talencie produkuje właśnie dzieła, które słuchacz również bez oporu przyjmuje i układa sobie z nich całą galerję umiłowanych utworów. Tych utworów radaby Opera posiadać jak najwięcej, nietylko, aby zapewnić sobie poklask i egzystencję, lecz również i podtrzymać zasadniczo, zagrożony cały gatunek sztuki, do którego społeczeństwo może się jeszcze nanowo przywiązać.

Artyści nasi dzisiejsi, pracujący obecnie w zrzeszeniu, składają swą bezinteresownością na rzecz tej idei jedną ze szlachetniejszych ofiar, jaką nam dzieje sztuki podają. Jeżeli więc z czcią i wdzięcznością zwracaliśmy się ku władzom najwyższym przeszłości, to jakże nie złożyć hołdu artystom naszym dzisiejszym, którzy wzięli na siebie zadanie, spełniane niegdyś przez królów? Na przełomie stulecia, ofiara ich świeci czystym blaskiem.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

STAROWINKI

(Z BAUDELAIRE'A)

Poświęcone Wiktorowi Hugo

1.

W pokręconych zaułkach wielkich stolic świata
Nawet nędza przybiera kształty fantastyczne,
Zaś ma dusza-włóczęga, kaprysem skrzydlata,
Śledzi istoty dziwne — zgrzybiałe, a śliczne.

Te potworki dziwaczne były kobietami:
Matki lub kurtyzany! — Potworki te krzywe,
Wierzcie, miłości godne! — Pod temi resztkami
Sukienczyn, ciał znoszonych — biją serca żywe.

Wlecze się ich falanga wiatrami sieczona,
Groźbą im w uszach huczą ciężkie omnibusy —
Więc, drżąc, jak świętość tulą do chudego łona
Woreczek, haftowany w kwiaty lub rebusy;

Ruszają się, podobne figurkom z jasełki:
To jak ranione zwierzę — ciche, w oku skarga —
To ruchawe, choć sztywne — bezwolne kukiełki,
Które Demon za nitkę bezlitosny targa!

Mimo zgrzybiałość oczy mają nieraz zwinne
I zapalne jak iskry, co drzemią śród zgliszczy —
Albo dziewicze, czyste spojrzenie niewinne,
Zadziwione i rade wszystkiemu, co błyszczy.

— Czyście zauważyli, że staruszek trumny
Bywają dziwnie małe — prawie że dziecięce?
To śmierć uczenie wkłada tu symbol rozumny
W swe dzieło, ukazując go w małej trumience;

Bo gdy mię mija taka zjawa, drżąca cała,
Co, przez tłum odtrącona, pod ścianami drepce,
Wydaje mi się zawsze, że ta istność mała
Podąża zwolna, cicho ku nowej kolebce. —

Jeśli mię, notabene, nie męczy pytanie,
Zdumionego pokrzywień mnogich odmiennością:
Czy też zawsze konceptu trumiennego stanie,
By pogodzić kształt pudła z wszelką koszlawością?

— Są oczy — studnie suche, co łzy wypłakały,
Lub jak metal zastygły, co zamroził ducha...
Są oczy tajemnicze, których urok cały
Zna ten, kogo karmiła niedoli pierś sucha!

2.

Zgasłego już Frascati Westalka-Sylfida,
Czy też Talji Kapłanka, której imię tylko
Nieboszczyk sufler wiedział; czy Efemeryda —
Diva z Tivoli, której świetność była chwilką —

Skrzą się jak szampan stary! Odmienne oblicza
Tych, które z łez i bólu miód żywota sycą,
Mówiąc do Poświęcenia, co skrzydeł użycza:
„Hipogryfie, gdzie cierpią — tam nieś błyskawicą!“

Ta przez ojczyzny losy w bólu wyćwiczona,
Tamtej mąż na ramiona cierpień zwalił brzemię,
Ta — Madonna przez dziecko siedemkroć rażona —
A każdaby nasycić łzami mogła ziemię!

3

Ileż razy śledziłem tych staruszek kroki!
Pamiętam — jedna często o słońca zachodzie,
Kiedy czerwona rana zakrwawia obłoki,
W zadumaniu siadała na ławce w ogrodzie,

Łowiąc uchem wojskowych trąb fanfary grzmiące,
Kiedy gawiedź się raczy muzyką solenną —
Muzyką, która w owe wieczory krzepiące
Coś rycerskiego sączy w mieszczuchów krew senną.

Ta prężyła się sztywno, jak wiarus w spódnicy,
Łakomie piła dźwięki śpiżu, grzmiące chwałą;
Niekiedy oko błysło jak starej orlicy —
Czoło z marmuru, zda się, na wawrzyn czekało!

4

Tak oto dożywacie, przez los srodze zmięte —
Śród mrocznych zwalisk życia błądzicie bez skargi,
Matrony z sercem krwawem — nierządne czy święte —
Których głośne imiona znały wszystkie wargi.

Was, coście ongi były pięknością, lub sławą —
Dziś obce, zapomniane, chyba na ulicy
Pijaczyna pozdrowi zaczepką plugawą. —
Czasem się dzieciak sprośny plącze przy spódnicy...

Wstydząc się, że żyjecie, bojąc swego cienia,
Zahukane, przyziemne, cichsze niżli trawa,
Drżycie o kruchą trwałość nędznego istnienia,
Szczątki ludzkiego bytu — dla wieczności strawa!

Ale ja uchem przy was przywarłem o miedzę
I z niepokojem badam wasze chwiejne kroki —
Z ojcowską niemal troską ciche bóle śledzę, —
Bo niecicie tajemne dreszcze i uroki:

Zda się, wskrzeszone — wstają wasze żądze młode;
Widzę was świetne, grzeszne w godzinie oklasków;
Mnożąc się, serce pije wasz srom i urodę —
Dusza się rozaniela od cnót waszych blasków!

Ruiny! Krewne moje! Dusze obolałe!
Co wieczór, gdy was żegnam, napełnia mię troska —
Bo gdzie będziecie jutro, wy, Ewy zgrzybiałe,
Na których ciąży straszna, karząca dłoń boska?

Przełożył BOHDAN WYDŻGA

NA WIDOWNI

Do czego dąży „sanacja“, znosząc samorząd wyższych uczelni — Co posiada, a czego mieć nie może.

CZĘSTO słyszy się dziś, że niszcząc autonomję wyższych uczelni, obóz „sanacji“ jeden tylko ma właściwie cel na widoku: usiłuje za jakąbądź cenę, choćby kosztem największych ofiar z ogólno-cywilizacyjnych dóbr narodu, zapewnić wpływ swojej ideologji pośród najmłodszych, dorastających pokoleń warstwy oświeconej. Tak jak wiele poglądów rozpowszechnionych, nie odzwierciadla to w sposób należyty istoty położenia. Faktycznie bowiem nie chęć przyciągnięcia ku sobie młodzieży kieruje teraz polityką sanacyjną w tej dziedzinie, ale plan zabezpieczania się, by w nadchodzących generacjach nie powstawały i nie mogły organizować się nowe siły, poczuwające się do odpowiedzialności za przyszłość Polski, innemi słowy plan wytępienia w zarodku, zawczasu pozbycia się, spędzającego sen z powiek, niebezpieczeństwa... rywali. Mówić w tych warunkach o zamiarze zdobycia pomiędzy młodymi liczniejszych rzesz wyznawców „ideologji“, nie wydaje się najtrafniejszem uchwyceniem sedna sprawy. Nieścisłe również byłoby np. wyrażenie, że polityka Heroda miała za cel zjednanie mu jaknajwiększej ilości zwolenników wśród niemowląt.

W rzeczy samej, rozejrzenie się w projekcie ustawy akademickiej wskazuje nieodparcie, iż narodził się on nie z zaufania w urok i atrakcyjność ideału sanacyjnego dla młodych serc i umysłów, ale przeciwnie, z całkowitej już desperacji o jakiejkolwiek sile jego pod tym względem. Na czem bowiem opierają twórcy projektu swoje rachuby? Najprościej, a jednocześnie z sumiennością znakomitego uczonego sformułował to prezes Akademji Umiejętności, prof. Kazimierz Kostanecki, wygłaszając dn. 25 z. m. swe uwagi krytyczne na posiedzeniu komisji oświatowej Senatu: „Projekt rządowy zmierza do tego, by młodzież trzymać strachem. Łączy się z ustawą stypendja i sprawę burs... Ustawa wprowadza z jednej strony groźbę, a z drugiej przynętę w formie burs i stypendjów. Wygląda to, że się chce stosować zasadę *ad captandam benevolentiam*“.

Otóż, co ostatecznie można osiągnąć strachem i przynętą materjalną, wprowadzeniem policji w mury uczelni, albo groźbą odmówienia stypendjów czy łóżka w bursie, jako karą w stosunku do „niebłagonadiożnych“?... Najwyżej znów, mówiąc słowami genjalnego wychowanka uniwersytetu wileńskiego z przed lat stu kilkunastu, student dzisiejszy nauczy się

„...pod ziemię kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły:
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły“.

Najwyżej ten i ów dojdzie do przekonania, że bezpieczniej i praktyczniej życiowo jest udawać entuzjazm, którego się nie czuje, ba, nawet prześcigać się z innymi w nieszczerej, ale sowicie natomiast opłacającej się gorliwości... Czy jednak system ten zdobędzie jednego chociażby, jednego tylko zwolennika prawdziwego? Jest jakaś beznadziejna ponurość w tej rezygnacji, w tem nie braniu wogóle pod uwagę możliwości pociągnięcia młodzieży ku obozowi sanacyjnemu bez „trzymania strachem“ i bez zapłaty...

Biedni ludzie... Mogą mieć przecież, ile zechcą, monumentów, obchodów uroczystych, wydawnictw, pocztówek... Mogą wynajmować sobie bojowców, dyktować depesze hołdownicze... Ale jedno jest już dla nich stracone, na zawsze: błysk szczerości, jaki widzi się we wzroku akademika-obozowca, gdy spogląda w oczy swego organizacyjnego kolegi i zwierzchnika, przywiązanie bezinteresowne i karność nieprzymuszona. Tego w swoich stowarzyszeniach „młodych“ nie znajdą, bo tego nie kupuje się za posady, nie nakazuje rozporządzeniem administracyjnem, nie egzekwuje przy pomocy policji. Cała machina specjalnego ustawodawstwa, najkosztowniejszej propagandy oficjalnej, nie wystarczy dla wykrzesania tego błysku. Można go mieć za darmo, za jedno uściśnięcie dłoni, gdy po kursie kandydackim w Obozie Wielkiej Polski, wręcza się nowemu członkowi odznakę — Szczerbiec Chrobrego...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedyś, dawno temu, przywódcy dzisiejszej „sanacji“ posiadali także tę tajemnicę: zdolność trafiania do uczuć niesamolubnych, do tkwiących w duszy narodowej instynktów, nakazujących czyny, dyktowane nie interesem własnym, nie liczeniem na zrobienie karjery, nie lękiem przed represjami. Dziś wyzbyli się tej umiejętności tak doszczętnie, iż już nawet przestają rozumieć, że zjawiska te są wogóle możliwe. Niemało pewnie przyczyniło się do tego stanu rzeczy, że główne narzędzie komunikowania się ze społeczeństwem, publicystykę i propagandę, powierzyła „sanacja“ w wielkiej części żydom i mieszańcom, że podziwiając „zręczność“ ich chwytów agitacyjnych zatraciła nakoniec wszelkie poczucie prawdy, zdolność wypowiedzenia choćby jednego słowa szczerze, bez obłudy, słowa trafiającego bezpośrednio do dusz, odruchowo budzącego ufność i zrozumienie. Ten brak wspólnego języka z narodem, najtragiczniejszy dzisiaj chyba defekt „sanacji“, bardzo jaskrawo uwydatniły ostatnie sukcesy Biura Opłat Akademickich i zbiórki na wykupywanie studentów.

Ta powszechna, żywiołowa ofiarność, jaką zbiedzone, wyniszczone kryzysem społeczeństwo natychmiast na ten cel okazało, te groszowe, bezimienne składki, gdzie widocznie od ust sobie nieraz odjęto, byle dopomódz („zdziczałej“, wedle oceny oficjalnej) młodzieży — to dla dzisiejszej polskiej psychiki zbiorowej objaw wiele mówiący i znamienny.

Zapewne, „sanacja“, zakrzątnąwszy się, mogłaby również na cel przez siebie obrany wykwestować sumę nie mniejszą: rozesłanoby listy ofiar do urzędników, starannie kontrolując, ile kto wpłacił, powstałyby komitety, bez udziału władz, z samych przedstawicieli społeczeństwa: pani ministrowa, pani wojewodzina, pani komendantowa policji, prezes miejscowego koła BBWR, naczelnik „Strzelca“... Ten i ów kartel przemysłowy uchwaliłby złożyć jakąś większą sumę. Ba, znalazłby się niewątpliwie nawet, z odpowiednim listem do prasy, „grosz wdowy“ (starającej się o koncesję). Ale to przecież nie byłoby to samo.

Odruchów psychiki zbiorowej nie da się ani zastąpić, ani podrobić. Na takie instynktowe zrozumienie wzajemne, tę wspólnotę odczuć i reakcyj,

tę jakgdyby konspirację bezwiedną, jaką jest naród, pracowały dzieje od lat tysiąca i na to miejsce nie wystarczy postawienie ustawy i policjanta. Można być albo wewnątrz tego wielkiego koła narodowego, albo się zeń, świadomie czy niepostrzeżenie, wyobcować. Ale w tym ostatnim wypadku już się tylko burzy, nie buduje.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

PRZERAZIŁOBY SIĘ NIECHYBNIE WIELU DZIAŁACZY sanacyjnego obozu, gdyby prawdziwy sens słowa „mocarstwowość", którem szafują nieopatrznie, stał się im więcej zrozumiały. Dzisiaj dla nich „mocarstwo", to termin z wyobraźni, którym przykrywa się tandentnie niższość cywilizacyjną sanacyjnego porządku. Ale co oznacza naprawdę? Zdaje się, że niektóre skutki mocarstwowego sposobu myślenia, dające się zaobserwować na Zachodzie Europy, a podobnież w Polsce przed wiekami, poważnie zaniepokoiłyby sanacyjnych entuzjastów tego hasła, gdyby sobie je uświadomili. W rzeczy samej, psychika mocarstwowa jest najlepszem, jakie być może, oparciem dla wielkości i siły państwa, najistotniejszą gwarancją. Ale zarazem daje obywatelowi nieznaną swobodę myślenia o sprawach publicznych. Nie paraliżuje mu myśli, nie olśniewa go prosty fakt, że naród ma państwo, że państwo ma swoje organy. Wyraz „rząd" nie budzi osobliwszej czci w sercu. To rzecz naturalna, że im mocniej wrasta ojczyzna w duszę obywatela, im głębsze jest przeświadczenie o wielkości i sile narodowej cywilizacji, tem mniej imponować muszą formalne, doraźne przejawy egzystencji państwa. Wydają się czemś raczej niepozornem, czemś, wobec czego obywatel zachowuje nieporównaną swobodę krytyki. Głupstwo w życiu publicznem bez wahania nazywa głupstwem, na myśl mu nie przyjdzie nazywać tego inaczej, ponieważ zrobiła to osoba, wysoko postawiona w hierarchji urzędowej... Być może, że te właściwości mocarstwowego sposobu myślenia o sprawach publicznych niebezpieczne są dla państw, będących dopiero na dorobku, a przedewszystkiem dla *régime*'ów, szukających oparcia w reklamie, lecz właśnie chodzi nam o ustalenie, jak dalece niemocarstwowa jest postawa dzisiejszych ideologów „silnego rządu". Dla szerzenia tej ideologji najwłaściwszy w istocie byłby w fazie obecnej jakiś energiczny „Związek młodzieży niemocarstwowej", fanatycznie oddany Wodzowi. Im bardziej dumny jest obywatel ze swego narodu, tem bardziej skłonny oceniać urzędowych przedstawicieli państwa tylko podług ich zasług czy błędów. Najdalsze zaś od mocarstwowego sposobu myślenia jest tolerowanie błędów rządu dlatego, że to rząd państwa ojczystego. Jeśli „Gazeta Polska" pisze (w artykule wstępnym 23 lutego): „Większość młodzieży rozumie, że jeżeli nawet zajdzie wypadek, w którym Rząd wkroczy w jej życie studenckie, to jest to Rząd własny, nie obcy, nie zaborczy. Młodzież to zrozumie, gdyż na szczęście urodziła się w Polsce niepodległej etc."... to trudno o większe niezrozumienie psychiki mocarstwowej wogóle i psychiki młodzieży w szczególności. Mocarstwowiec ze wstrętem widzi, że są ludzie, co umieją wyobrazić sobie w Polsce rząd zaborczy. W oczach zaś młodzieży akademickiej nie jest to w najmniejszym stopniu okolicznością łagodzącą, że autonomję wyższych uczelni w Polsce niszczy rząd — polski.

POWIEDZIELIŚMY WYŻEJ, ŻE PEWNE CECHY MOCARSTWOWEGO SPOSOBU MYŚLENIA niebezpieczne mogą być dla państwa na dorobku, a w każdym razie dla dzisiejszego *régime*'u. Być może — ale cóż robić, kiedy niebezpieczeństwa tego nigdy w Polsce na dobre uniknąć się nie da. Sedno trudności tkwi w tem, że Polska mocarstwem b y ł a. I cała ta szkoła małości, w której dziś pobiera społeczeństwo nauki, w żaden sposób nie wypleni z dusz tego poczucia. Całe zmartwienie z tego powodu trzeba zresztą pozostawić sanatorom. Można zrozumieć, że godność osobista człowieka, którą tak wszczepiła w dusze stara cywilizacja polska, musi być walną przeszkodą w urządzeniu państwa według metod dzisiejszych. Niewątpliwie też okoliczność, że Polska wydała tylu wielkich ludzi w przeszłości, utrudnia znacznie reklamę pewnych osobistości z doby współczesnej. Z konieczności cześć i miłość dla cywilizacji dawnej ostudzają znacznie zapał dla idei i dla praktyk „nowego państwa". Ta trudność, że nie da się przekreślić dorobku cywilizacyjnego dawnej Polski, jest to trudność rzeczywista, i w istocie nie do przezwyciężenia dla tych, co Polskę zepchnąć próbują na niższy poziom w hierarchji narodów. Któż wierzy serjo, że pozbawiając uniwersytety autonomji, „sanacja" buduje naprawdę dzieło trwałe?

NIEDAWNE *EXPOSÉ* MIN. BECKA w sejmowej komisji spraw zagranicznych zawiodło oczekiwania tych wszystkich, co spodziewali się usłyszeć coś więcej, niż zbiór truizmów. Publicyści sanacyjni nie omieszkali jednak pochwalić ministra za „dojrzałość". Niewątpliwie, gdyby oznajmił „Na zachodzie od nas leżą Niemcy", podziw dla dojrzałości jego myśli wzmógłby się jeszcze bardziej. Nie mącąc uznania dla znawstwa i wytrawności pułk. Becka w dziedzinie spraw zagranicznych, zwrócić tu chcemy uwagę na przemówienie prezesa wspomnianej komisji, posła Radziwiłła, którem otworzył dyskusję. „Uwypukla się" — mówił ks. Radziwiłł — „wielki spokój i opanowanie, z jakiem przemawiał nasz minister spraw zagranicznych. Pragnę powinszować p. ministrowi tego spokoju..." — poczem (z całą równowagą) nakreślił obraz sytuacji w Niemczech. „Od pewnego polityka polskiego słyszałem zdanie, że dojście Hitlera do władzy nie jest dowodem wielkiego jego genjuszu, lecz raczej upadku i demoralizacji jego kraju. Podzielam ten pogląd. Karjera Hitlera jest nam znana od chwili puczu monachijskiego, poprzez zyskiwanie sobie zwolenników drogą nienawiści rasowej, poprzez zapowiedzi walki z marksizmem. Są to wszystko środki, które tylko w społeczeństwie bardzo zdenerwowanem i o wątpliwej wartości moralnej mogą prowadzić do celu" („Gaz. Polska" z 23.II). Z niemałem zdumieniem dowiaduje się czytelnik, że dla olimpijskiego umysłu mówcy hasło walki z marksizmem rokuje powodzenie tylko w społeczeństwie o... wątpliwej wartości moralnej. I wogóle dziwnem się zdaje, że ktoś ze spokojem przedstawiać może hitleryzm,

jako prąd czysto rozkładowy. Wydawało się, że sprawa to conajmniej sporna, że w ruchu hitlerowskim, obok różnych pierwiastków są też i takie, co wyrażają dążenia odrodzeńcze nietylko młodych Niemiec, lecz i wogóle narodów europejskich. Dużo mówią o wytrawności dzisiejszych specjalistów od polityki zagranicznej w obozie „sanacji“ przytoczone powyżej słowa, wypowiedziane, przy rzadkiej okazji posiedzenia komisji spraw zagranicznych sejmu, przez jej prezesa.

W TEM SAMEM PRZEMÓWIENIU POSEŁ RADZIWIŁŁ zażądał od francuskiej opinji radykalnej, aby przezwyciężyła swą niechęć do sanacyjnej Polski równie łatwo, jak przezwyciężyła niegdyś wstręt w stosunku do Rosji carskiej. „Wewnętrzna polityka państw obcych nie powinna wpływać na zagraniczną politykę Francji i na układanie się stosunków międzynarowych. Prawda ta zbyt późno wróciła do świadomości polityków francuskich. Przed wojną społeczeństwo francuskie, wśród którego było przecież i wielu socjalistów, entuzjastycznie witało flotę rosyjską. Ludność Paryża z entuzjazmem witała cara Mikołaja, a wybitni politycy francuscy i prezydenci republiki chętnie i radośnie składali wizyty w Petersburgu i Carskiem Siole. Uchwała radykałów jest więc tylko nawrotem do dawnych stosunków. Należy ją powitać z radością, wyrażając przytem nadzieję i życzenie, by ta prawda stosowana była do wszystkich, nietylko do carskiej Rosji i hitlerowskich Niemiec, ale i do Polski Marszałka Piłsudskiego“ („Gaz. Polska“, 23.II). Rozumiemy, że pos. Radziwiłł pragnie zastosowania pobodnych kryterjów do Rosji carskiej i do Polski dzisiejszej. Ale rozumiemy też, czemu radykałom francuskim tak niesporo poszło z zastosowaniem w obu wypadkach jednej miary. Rosja ta była Rosja. A Polskę Francuz przyzwyczaił się uważać — i propaganda nasza zresztą to podawała — za kraj cywilizacji zachodniej. Z niejakim trudem zastosowywał do nas te kryterja, co do Rosji Mikołaja, bo musiał przytem zmienić także swoje pojęcia. Nic dziwnego, że, konserwatywny z natury, musiał przy tem się trochę wysilić!

NIEPODOBNA W POLSCE KROKU UCZYNIĆ, żeby nie natknąć się na sprawę żydowską. Istnieje tu wprawdzie cieplarnia w postaci prasy sanacyjnej, gdzie ziela palestyńskiego nie znajdzie się ani na lekarstwo. Ale ten szczęśliwy kąt jest tworem sztucznym i bardzo kosztownym, chociaż właśnie przez żydów starannie pielęgnowanym. Pozatem gdzie stąpnąć, sprawa żydowska wszystkie życia dziedziny zachwaszcza. Któżby, naprzykład, mógł przypuścić, ża natrafi na nią podczas przeglądania różnych tygodników technicznych? A jednak.,. biorę oto do rąk poważny i najciaśniej specjalny miesięcznik techniczny p. t. „Technika cieplna, Czasopismo Stowarzyszenia Dozoru Kotłów w Warszawie“ i w jego zeszycie pierwszym roku bieżącego czytam takie oto zakończenie jakiejś rozprawy technicznej:

„Wobec tego, że wybuchy kotłów w łaźniach rytualnych zdarzają się coraz częściej (Nowogródek, Horodenka, Radomsko), gdyż w tych instytucjach często rozmyślnie ukrywa się kotły, podlegające dozorowi, a przy kotłach zgłoszonych pod dozór „Stowarzyszenia Dozoru Kotłów“ toleruje się niedbalstwo i lekceważenie, należałoby celem uniknięcia tego rodzaju wypadków na przyszłość, wydać jakieś specjalne zarządzenia“.

I tu zatem domagają się ludzie zarządzeń specjalnych względem prześladowanego wszędzie narodu wybranego... Antysemityzm zoologiczny, botaniczny, techniczny, barometryczny, termometryczny — nie! tego już zadużo! Żydzi powinni i ten wypadek przedstawić na forum Rytualnej Ligi Narodów, ażeby ukróciła dzikie uroszczenia inżynierji polskiej. Dlaczego nie ma być wolno żydowi z własnej mykwy swojej wylatywać w powietrze?

O NAZWISKO STWOSZA

PEWNA GRUPA pisarzy warszawskich wprowadziła nową pisownię nazwiska krakowskiego i norymberskiego rzeźbiarza: Stosz. Jako człowiek, który niegdyś, pod kierunkiem profesorów Józefa Łebkowskiego i Marjana Sokołowskiego, dosyć długo zajmował się tym artystą, chciałbym, a ze mną z pewnością całe mnóstwo innych, poznać przyczynę tej niezrozumiałej zmiany. Jest to kwestja bardzo na czasie, ponieważ rok bieżący jest czterechsetną rocznicą śmierci mistrza i wyda niezawodnie liczne publikacje. Byłoby pożądanem, żeby uczeni warszawscy nie różnili się z uczonymi krakowskimi bodaj co do pisowni nazwiska, dlatego uważam, że załatwienie tego sporu powinno poprzedzić rozprawy, jakie niechybnie się ukażą. I chociaż niefachowiec, zabieram głos, żeby dać początek wyjaśnieniu sprawy.

Pisownia: Stosz nie jest polska, nietylko dlatego, że odbiega od tradycyjnej pisowni Stwosz, ale i dlatego, że jej brzmienie jest niezgodne z polską wymową. Tylko przy upartem zawzięciu się można nagiąć język Polaka, nawykły zresztą do wymawiania najtwardszego zbiegu spółgłosek, ażeby płynnie i bez omyłki operował tem brzmieniem. Poza tradycją, ma polska pisownia Stwosz oparcie o własnoręczny podpis artysty na sarkofagu króla Kazimierza Jagiellończyka, gdzie wyraźnie wyryto majuskułą: *FEIT STVOS*.

Nie jest też ten sposób pisania polską transkrypcją niemieckiego brzmienia. Po niemiecku bowiem pisze się to nazwisko Stoss i wymawia: Sztos. Niemczyzna literacka i wszystkie południowe, środkowe oraz wschodnie dialekty niemieckie nie znają grupy spółgłosek *st* w nagłosie, któraby się wymawiała po słowiańsku, czy po romańsku jako s + t. *St* na początku wyrazu czy zgłoski wymawia się zawsze w niemieckim języku jako *szt* (*stehen* = szteen, *Stab* = sztab i t. d.). Wyjątek stanowi dialekt *plattdeutsch*, w którym *st* wymawia się po słowiańsku czy romańsku jako s + t, tak jak i w innych językach północno germańskich. Jednakże nikt dotąd nie wywodził naszego mistrza ze Skandynawji, albo z Meklemburgji czy Hamburszczyzny. Dotychczasowe spory o pochodzeniu Stwosza wyprowadzały jego samego z Krakowa lub Norymbergi, a jego dziadów ze Śląska, lub Bawarji, tam zaś *st* w nagłosie wymawia się jako *szt*. Wprawdzie znalazło się przypuszczenie, że rodzina Stwosza pochodzi ze słowackiej albo ściślej ze spiskiej wsi Stosz, ale ta hypoteza nie może wpłynąć na wymowę nazwiska, chociażby od tej wsi wziętego. Spisz należał do Węgier i wieś

pisana: Stosz, wymawia się po madziarsku na odwrót: sztos. A zresztą, jak przypuścić — nawet gdyby się udowodniło, że słowacka wieś wymawiana była Stosz i że przodkowie naszego artysty przyjęli nazwę wsi rodzinnej jako nazwisko—żeby w środowisku niemiecko-polskiem w Krakowie, czy w niemieckiem w Norymberdze sam mistrz zachował wymowę ani polską ani niemiecką, tylko jakąś słowacką i żeby go jego polscy czy niemieccy współobywatele albo jego polska czy niemiecka rodzina tak wymawiała!

Zamiast szukania oryginalności w dowolnem zmienianiu nazwiska, byłoby w tym roku wskazane fotograficzne wydanie krakowskich dokumentów, tyczących Stwosza, jak np. spis składek na ołtarz marjacki w Krakowie, zapiski o ślubie, chrzcie dzieci, o tranzakcjach kupna i sprzedaży itd. Jest tego niewiele, a miałoby to większe znaczenie, niż wszystkie dotychczasowe rozprawy Akademji Umiejętności. Cała Europa bowiem w sprawie Stwosza jest skazana na czerpanie o nim wiadomości z niemieckich prac, które mniej są naukowe, niż szowinistyczne, dowodem choćby sfałszowane przez Lochnera wydanie pamiętnika Neudörfera. I byłoby bardzo pożądane, żeby ten pamiętnik przedrukowano w Polsce według autentycznego wydania Campe'go. Neudörfer i *facsimile* zachowanych w Krakowie dokumentów, dotyczących Stwosza, wyzwoliłyby badaczy obcych (Francuzi bardzo się tą kwestją interesują) od zależności od t. zw. nauki niemieckiej. Poco oni mają czerpać wiadomości z drugiej ręki, skoro mogliby dostać ze źródła? A w dzisiejszych czasach antypolskiej propagandy takie przypomnienie chwały i zasług Krakowa oraz Polski w XV wieku spełniłoby także pewne zadanie polityczne. Przypuszczam, że przy teraźniejszem odnawianiu ołtarza marjackiego nie zapomniano o fotograficznem zdjęciu wszystkich głów, wszystkich postaci i szczegółów dekoracyjnych, żeby z nich stworzyć monumentalne wydawnictwo dla Europy i świata. To się należy sztuce, Stwoszowi i Polsce. Rozumie się, że umiejętne zużytkowaniu sarkofagu Króla Kazimierza, płyty Kallimacha, ołtarza florjańskiego, nagrobka Oleśnickiego w Gnieźnie itd. jest poprostu obowiązkiem chwili przy sposobności tej rocznicy.

A co do nazwiska, to chyba najlepiej zostać przy tradycji, skoro istnieją dwa autentyczne podpisy samego mistrza: Stvos i Stwosz.

JAN ZAMORSKI

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydział filologiczny Akademji Umiejętności w Krakowie u schyłku roku ubiegłego zaznaczył swą aktywność szeregiem wartościowych pozycyj. Prof. Sinko przedstawił referat p. t. „Dookoła „Poganki" N. Żmichowskiej", stanowiący rozdział obszernej pracy autora o „Polskich hellenikach w literaturze XIX i XX wieku". Badania te, ogłoszone w całości, zaważą niewątpliwie w obrazie związków literackich nowożytnej myśli polskiej z antykiem. Studjum o „Pogance", interesujące osobliwie z uwagi na aktualny renesans Żmichowskiej, o którym pisała swego czasu dr. Z. Szmydtowa w „Pamiętniku Literackim", przynosi ważne korelacje tworzywa artystycznego powieści z elementami klasycznemi: ustala szereg szczegółów, cennych dla genezy utworu (np. związki z Gautierem).

Prof. Sternbach rozważa zagadnienie kulturalne znacznej doniosłości naukowej: „Paremjografję polską XVII wieku". Ożywiony ruch badawczy, który ogarnia coraz większe połacie staropolszczyzny, rozszerza swe zainteresowania, wzorem Aleksandra Brücknera, z dociekań literackich na szereg treści i zespołów kulturalnych. Praca Sternbacha, prawiąca przedewszystkiem o Rysińskim, dostarcza wiele materjału do jednego z tych szczegółowych zagadnień. Ważne jest przytem stwierdzenie ogólne: stwierdzenie związków polskiej paremjografji z dziedzictwem średniowiecza, nie zaś antyku bezpośrednio.

Duże zainteresowanie wywoła referat prof. Krzyżanowskiego: „Sienkiewicz i walterskotyści rosyjscy", nadesłany Komisji historji literatury polskiej. Podejmuje tu autor ciekawy wątek poszukiwań nielicznych poprzedników. Birkenmajer, Harhala pisali już o walterskotyzacji Puszkina „Kapitanskaja doczka" w „Ogniem i mieczem". Studja Krzyżanowskiego precyzują te obserwacje i mnożą je szczegółami nowemi (Gogol, Zagoskin), nieraz dużej wagi, śmierć Podbipięty dźwięczy np. niewątpliwemi pogłosami lektury Gogola. Nie idzie przecież autorowi o zebranie jednej jeszcze wiązki „wpływów" literackich. Raczej o sprawy bardziej istotne: analogje sytuacyjne i inne w romansach walterskotowskich stwierdzają ciekawie przynależność tematyczną Sienkiewicza do tego właśnie typu. Ponieważ zaś materjały te leżą w płaszczyźnie zarówno faktycznych jak przypuszczalnych związków literackich polsko-rosyjskich, akcentuje autor ważność studjów nad tą dziedziną zagadnień. Konkluzje końcowe prof. Krzyżanowskiego pozwalają oczekiwać po jego pracy wielu wyników istotnych, zarówno z uwagi na Sienkiewicza, jak wogóle walterskotyczną powieść polską. (T. M.)

*

W *„Zeitschrift für slavische Philologie"* ogłosił prof. lwowskiego uniwersytetu, Witold Taszycki, obszerną pracę p. t. „Polskie językoznawstwo w latach 1915 — 1930". Praca ta, mogąca służyć za wzór naukowej gruntowności i rzetelności, niewątpliwie przyniesie pożytek ogromny polskiej propagandzie zagranicą. Jak Rej (którego tak świetnym znawcą jest uczeń Łosia i Chrzanowskiego, prof. Taszycki) głosił, że „Polacy nie gęsi, że swój język mają", tak dzięki Taszyckiemu przekonać się mogą naocznie „postronni narodowie", że Polacy zajmują na polu językoznawstwa jedno z pierwszych miejsc w świecie. Dorobek tych lat piętnastu, które w tytule pracy określono dwiema datami granicznemi, jest naprawdę imponujący. Punktem zwrotnym w historji polskiego językoznawstwa nazywa Taszycki chwilę ukazania się dwóch tomów Encyklopedji Pol. Akademji Umiejętności, poświęconych językowi polskiemu oraz innym językom na ziemiach polskich. W tymże czasie zaczyna wychodzić „Język Polski", „czasopismo językoznawcze dla wszystkich", będące może jedynem tego rodzaju przedsięwzięciem w Europie. Datami ważnemi są następnie: stworzenie Instytutu Zachodnio-Słowiańskiego w Poznaniu (1921), założenie Pol. Towarzystwa Językoznawczego (1925) i Tow. Miłośników Jęz. Pol. (1920), powstanie szeregu pism, poświęconych znawstwu Słowiańszczyzny, wydanie fundamentalnej gramatyki polskiej J. Łosia i t. d. i t. d. Sama ilość pism, poświęconych sprawom językowym, już imponuje (*nb.* nieodżałowaną szkodą jest zawieszenie Ruchu Słowiańskiego", „Rocznika Slawistycznego" oraz „Materjałów i prac Kom. Językowej Ak. Umiejętn."). Chlubą nauki polskiej są i nazwiska językoznawców z tego okresu: Baudouin de Courtenay, Rozwadowski, Łoś, Nitsch, Gawroński, Appel, Porzeziński; oprócz nich wybija się szereg młodszych, znanych już i poza Polską, niektórzy zaś z nich obejmują nawet dalekie regjony językowe (orjentalistyka we Lwowie). Zapoznawszy czytelnika z ogólnym stanem wiedzy językoznawczej w Polsce, prof. Taszycki przechodzi kolejno wszystkie działy językoznawstwa, wskazując, co w każdym z nich zdziałano. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Do znakomitych żołnierzy Francji, wsławionych nietylko wielkiemi czynami na polu bitwy, należy marszałek Lyautey, któremu Rzeczypospolita Francuska zawdzięcza między innemi swoją najpiękniejszą kolonję afrykańską, mianowicie Maroko.

Podziwiają w nim Francuzi nietylko wielkiego wodza oraz założyciela i organizatora ogromnego państwa kolonjalnego, lecz i człowieka wogóle, obdarzonego niezwykłemi przymiotami umysłu i serca. Tej niepospolitej jednostce poświęcone zostały ostatnio we Francji dwie książki, odtwarzające jej świetny żywot oraz składające hołd jej zasługom.

Po książce Maurois o marszałku Lyautey, wyszła świeżo druga, jemu poświęcona, której autorem jest pułkownik Bugnet (*„Maréchal Lyautey"*). Po przeczytaniu tej pięknej książki jasne się staje, że wielkiego wodza, jakim jest marszałek Lyautey, stworzyły jego niepospolite wartości duchowe — wzniosły charakter i świątły umysł. Jak jedno i drugie objawiało się stale od początku aż do końca jego karjery wojskowej, opowiada o tem książka pułkownika Bugnet, przytaczając mnóstwo ciekawych faktów z życia marszałka, z jego sposobu ujmowania oraz wykonywania zadań i obowiązków żołnierza. (W. J.)

TEATR

SZTUKA BR. WINAWERA

DOWCIPY żydowskie bywają najczęściej dowcipne tylko o tyle, o ile się je wygłasza żydowskim akcentem. *„Szmonces“*, wypowiedziany przez aryjczyka tonem nieżydowskim, traci zwykle conajmniej pięćdziesiąt procent wartości, niekiedy zaś staje się całkowicie niezrozumiały. Możemy to stwierdzić bardzo łatwo przez eksperyment następujący: Weźmy pierwszy lepszy numer „Cyrulika Warszawskiego“ i spróbujmy przeczytać djalog panów Żółtki i Ejerweisa poprawną polszczyzną. Połowa conajmniej komizmu przepadnie. Jeżeli zaś wyobrazimy sobie, że którykolwiek z owych djalogów prowadzą nie żydzi — lecz aryjczycy — wówczas rozmowa ich wogóle przestanie być dowcipna i — w przeważnej ilości wypadków — zamieni się poprostu w nonsens.

Nietylko *„szmoncesy“*, ale nawet wiersze liryczne żydowskie należy wygłaszać z żydowska, jeśli się pragnie wydobyć z nich *maximum* efektu. Wiosenny wierszyk Tuwima („Pani ma takie czerwone usta“... i t. d.) naprawdę wzrusza słuchaczy dopiero wtedy, gdy się go deklamuje tonem szajgeca, zaczepiającego na Nowym Świecie umalowaną „siksę“. W interpretacji „aryjskiej“, t. zn. pozbawionej akcentu żydowskiego, utworek ten zatraca prawie doszczętnie swój wdzięk rozbrajający i zamiast wzruszać słuchacza specyficznym, egzotycznym liryzmem — razi arogancją tonu i nieużywanemi przez rdzennych Polaków zwrotami językowemi.

Uwagi powyższe wprosiły mi się pod pióro w chwili, gdy zamierzyłem napisać sprawozdanie z najnowszej krotochwili Brunona Winawera, wystawionej w teatrze Letnim p. t. „Smaczny chleb kłamstwa“.

Winawerowi stała się krzywda. Z tekstu komedji widać wyraźnie, że jej bohater naczelny i większość komparsów to żydzi. Żydem niewątpliwym jest ów, mówiący po polsku, laureat Nagrody Nobla, mający nazwisko niemieckie, urodzony w Kijowie i osiągający na podstawie sfałszowanych dyplomów — godność profesora uniwersytetu berlińskiego. Gdyby nie był żydem napewno nie nazywałby się Linz-Torgan, napewno nie przezywałby księżnej v. Thurn u. Taxis — „taksówką,“ napewno również nie dostałby Nagrody Nobla, pomimo wiszącego nad nim oskarżenia o oszustwo. Taka rzecz może się przytrafić tylko żydowi, lansowanemu przez masonerję. Aryjczyka by w takich warunkach nie nagrodzono. Żydem również, pomimo nazwiska filistyńskiego, jest doktór praw Goljath, mówiący z uwielbieniem (w polskiej palestrze bardzo rzadko spotykanem) o berlińskich *Justizrath*'ach, którzy mu nadzwyczajnie imponują. Żydówką jest wreszcie zakopiańska aptekarzowa, zajmująca się w wolnych chwilach dziennikarstem i pisująca reportaże dla „Wiadomości Literackich“.

Zamiarem niewątpliwym autora było przeciwstawienie tych semitów (mniej lub więcej inteligentnych i dowcipnych) wyszydzonym niemiłosiernie za swoje niedołęstwo życiowe aryjczykom: niemieckiemu arystokracie, który po zbankrutowaniu nadaje się jedynie na (żydowskiego) szofera i warszawskiemu inżynierowi, który zamiast pracować w swoim fachu zarabia na chleb utrzymywaniem pensjonatu (dla żydów) w Zakopanem.

Otóż ta intencja p. Brunona Winawera została prrez reżyserję pana Chaberskiego całkowicie wypaczona. Aktorom wmówiono, że mają grać normalnych europejczyków, nie zaś semitów i zżydziałych szabesgojów. W grze Jerzego Leszczyńskiego niepodokna było dopatrzyć się ani jednego gestu, charakterystycznego dla „berlińczyków“ pochodzenia kijowskiego. Nieskazitelna polszczyzna tego aktora była grubym fałszem artystycznym. Jeżeli pani Ćwiklińskiej reżyser pozwolił przez całe dwa akty mówić po czesku, to powinien był dopuścić na scenę również ten polski djalekt interregjonalny, którym w Bandzie posługują się z takiem powodzeniem panowie Krukowski, Lawiński, Tom etc. Być może iż wówczas sztuka Winawera podobałaby się nam tak, jak się nam podobają *szmoncesy* kabaretowe. Próba odżydzenia *szmoncesów* zawieść musiała. Publiczność uraczona (w tłusty czwartek!) tym bardzo nie „Smacznym chlebem kłamstwa“, narzekała w antraktach na oschłość utworu, pozbawionego niezbędnej omasty.

W TEATRZE POLSKIM: „AZEF“

W TEATRZE Polskim wystawiono „reportaż“ dramatyczny p. t. „Azef“ napisany przez pp. Tołstoja i Szergolewa. Literackiej wartości utwór ów posiada tyle, ile jej znaleźć można w artykułach „Tajnego Detektywa“. Z tego powodu „Myśl Narodowa“ nie uważa za niezbędne zaprzątania tą sztuką uwagi swoich czytelników. Ograniczamy się jedynie do zanotowania, że spektakl ten dał okazję p. Zelwerowiczowi do stworzenia ciekawej kreacji aktorskiej w roli tytułowej.

ZASTĘPCA

ZMARLI

Ś. P. BOHDAN WYDŻGA

UMARŁ Bohdan Wydżga. Zanim ktoś powołany skreśli jego zasługi jako adwokata przysięgłego, radcy prawnego kolei Warszawsko-wiedeńskiej, członka zarządu cukrowni „Ostrowite“, prezesa stowarzyszenia filistrów K! Polonia, konsula Rzeczypospolitej w Paryżu, wreszcie zamiłowanego hodowcy koni wyścigowych, wspomnijmy o Nim na łamach „Myśli Narodowej“ przedewszystkiem jako o literacie, którego świetne przekłady z *Fêtes Galantes* Verlaine'a drukowaliśmy w pierwszym roczniku naszego tygodnika.

Literatura była jednem z największych umiłowań ś. p. Bohdana Wydżgi. Poświęcał się jej — mianowicie poezji — od najwcześniejszej młodości po dni ostatnie. Jeszcze przed paru miesiącami przygotowywał do druku najważniejszą ze swoich prac poetyckich — pełen humoru i fantazji poemat, stanowiący uzupełnienie mickiewiczowskiej „Bajki o królewnie Lali“.

Wiersze liryczne Wydżgi były przez grupę wybranych słuchaczy (którym je chętnie deklamował z wielkim talentem recytacyjnym) cenione wysoko. Szersza publiczność ich niestety dytychczas nie poznała. Ogół znał znakomite przekłady Wydżgi, umieszczane w literackich czasopismach. Z przekładów tych w wydaniu książkowem pojawiły się tylko „Kwiaty Zła“ Baudelaire'a — najlepsze z istniejących w Polsce tłumaczenie kompletne tego wspaniałego zbioru wierszy.

Drugiem, obok literatury, umiłowaniem ś. p. Wydżgi były sztuki plastyczne — przedewszystkiem malarstwo. Znał się na niem wybornie i przez całe życie gromadził w swojem mieszkaniu bogatą kolekcję obrazów polskich. W kolekcji tej były reprezentowane co najświetniejsze palety artystów współczesnych. Jest to zbiór obrazów wysoce wartościowy.

Równie dobrze, jak na obrazach, znał się na tkaninach, ceramice i meblarstwie. Znawstwo jego oddało wielkie usługi społeczeństwu — w okresie rewindykacji zbiorów państwowych z Rosji. Ś. p. Bohdan Wydżga, jako członek komisji rewindykacyjnej udał się wówczas do Bolszewji i walczył tam dzielnie o nasze skarby. Zawdzięczamy mu między innemi rewindykację słynnych arrasów Zygmuntowskich (przedewszystkiem „Potopu“ wawelskiego).

Cześć Jego Pamięci!

W ROZMÓWNICY

Pan S. pisze do jednego ze współpracowników naszych, że autor „Głosu“ przed paru tygodniami popełnił błąd, mianowicie mówi się nie „nauczycielów“, lecz „nauczycieli“. Pytamy gramatyków, a ci powiadają, że można i tak i tak. Ale co ważniejsze, zarzuca się w liście temuż autorowi zmyślenie, że w jakimś podręczniku szkolnym podano, jakoby n i k t i n i c były postacią liczby mnogiej od k t o i c o. Otóż wskazujemy źródło. Wzór ten figuruje w gramatyce polskiej St. Szobera dla szkół powszechnych, zesz. II, wydanie 17-e, Warszawa, M. Arct, str. 24.

Do numeru niniejszego załączamy, dla ułatwienia wpłacenia prenumeraty, blankiet na P. K. O. nr. 3.105.

OFENSYWA

NIEODKRYTA AMERYKA

PANU Prezesowi Wincentemu Witosowi poniższe uwagi do przeczytania łaskawego polecić sobie pozwalam.

Rzecz jest taka. Istnieje w Warszawie towarzystwo Polsko-Amerykańskie. *Lucus a non lucendo.* Ot tyle działa i tyle dokonało efektywnie, co „Towarzystwo Polsko-Łotewskie“ albo „Polsko-Paragwajskie“. Od czasu do czasu bankiet, witający lub żegnający nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych, lub bankiet witający lub żegnający „latającego Holendra“ pana Patka („wsiadł Patek na statek i jedzie, czy mu się coś wreszcie powiedzie?“). Na takich bankietach zawsze wygłasza orację p. prezes Kotnowski, a na drugi dzień całe towarzystwo Polsko-Amerykańskie znów zapada w drzemkę pana Prospera (od *Prosperity*). W propagandzie, w zbliżeniu emigracji do starego kraju, w wymianie handlowej, w poznaniu przez społeczeństwo tutejsze stosunków w Polonji amerykańskiej, w zyskiwaniu nam w Stanach przyjaciół czy obrońców „Towarzystwo“ rezultaty ma mikroskopijne. Tak jak było, tak i jest: Polacy w kraju nic nie znają czteromiljonowego narodu emigracyjnego, nic się nim nie interesują i *vice versa.*

Nas tu obchodzi odcinek literacki. Wychodzą w Ameryce książki o Polsce lub na tle polskiem. Czy kto się tem zainteresuje w Warszawie? Czy ludzie pana Kotnowskiego lub ludzie p. Dreszera postarali się o to, aby książki te sprowadzać, inteligencję stołeczną o tem uświadomić, do gazet to i owo rozesłać, o recenzje się postarać, autorów do Polski zaprosić, wdzięczność im zamanifestować, krzyże zasługi dla nich wyrobić, „akademję“ jakąś urządzić, „*Pen-Club*“ na to zgalwanizować i t. p.? Odpowiedzą na to ci dygnitarze w estymie, na amerykańskich drożdżach podrośli: „Literatura nam Hekubą. My się tem nie interesujemy. My od rzeczy poważnych i realnych“. I t. p. To bardzo źle, moi kochani, że się tem nie interesujecie. Toście powinni! Zaraz was przekonamy.

Oto było takich dwóch lotników amerykańskich w „Squadronie Kościuszki“ (1919). Młodzi bohaterowie! Zaagitowani, zafascynowani ongiś proszumnemi wezwaniami Paderewskiego i Hallera (nie Mecnarowskiego i Krzemieńskiego) walczyli z Ukraińcami i Bolszewikami. Poczem jeden napisał o tych niezwykłych swoich przygodach i wojenkach książkę (pono znacznie ciekawszą od... pamiętników Mściwoja): „*Wings over Poland*“. Autor: Kemmeth M. Murray. Kto to czytał? Kto miał w ręce? Gdzie recenzje? Czemu nie tłumaczone? Jak mu za to dziękowano?

Drugi lotnik amerykański z „Eskadry Kościuszki“ (11 Amerykanów i 2 Polaków) przebywa teraz w Polsce. Gdzie się znajduje? Kto się nim zajął i zaopiekował? Miał lat 16-ście, kiedy się zjawił w Warszawie. Musiał dużo dokazać, kiedy ma przynajmniej i *Virtuti Militari* i Krzyż Walecznych. Nazywa się: Elliot Chees. Poeta. Jeździ po Polsce, aby zbierać materjały, poznawać ludzi i nastroje. Planuje książkę p. t. „*These Tears*“. Kto go widział? Kto mu pomaga? Jakie suggestje nań działają? Czy pan Znamięcki nie zająłby się mr. Elliot Chessem?

Czy dalej nie wypadałoby, żeby stowarzyszenia i assocjacje pań polskich (może z „Ligi“?) dały jakoś wyraz wdzięczności kobiet polskich dla kilku Amerykanek, bardzo dla naszej sprawy zasłużonych? A więc najpierw:

Pani Charlotty Kellog, autorki grubej, czterysta stron liczącej, ilustrowanej biograficznej powieści: „Jadwiga, *Polands Greant Queen*“, do której to powieści przedmowę pisał P a d e r e w s k i, a której to powieści ani jednego egzemplarza niema w stolicy Polski.

Druga—to Hellen Keller, słynna w Ameryce publicystka. Jest i niewidoma i głuchoniema! Dobrzy ludzie uczyli ją wszystkiego, Ma stałą towarzyszkę miss Macy, która jej nieodstępuje, która jest jej wzrokiem i słuchem. Hellen Keller nabrała dziwnej, sympatji do wszystkiego, co polskie, co dawno — polskie, co pięknie polskie. O dzisiejszej Polsce wszystko się przed nią zataja... Stąd sympatje, którym daje wyraz w artykułach, w kobiecych amerykańskich pismach zamieszczanych. Pytanie teraz, czy Polki w Warszawie wiedzą o isnieniu takiej Hellen Keller i jak myślą tej Głuchoniemej Niewidomej Orędowniczce wyrazić uczucia wdzięczności?

A teraz przychodzą dwie najważniejsze pozycje, znów dwie kobiety amerykańskie. Są to:

Edna Ferber i Fannie Hurst.

Kto o nich słyszał w stolicy? Czy tak zwanej „Elicie“ obiły się kiedy o słuchy te dwa nazwiska? Czy panowie Dreszer, Kotkowski, Ordyński, Tomaszkiewicz (poseł) wiedzą coś o tych paniach? Może Wojciech Kossak miałby „rodakom“ coś do powiedzenia? Wierzyński czy je poznał, bawiąc w Stanach? A jak się do tych dwóch bądź co bądź f e n o m e n ó w odniosła nasza Ambasada w Waszyngtonie? Bankiet jaki, był? Wręczenie „Polonji“ czy „Krzyża“? Stowarzyszenia kobiece w Warszawie czy wysłały tak Fannie Hurst jak i Ednie Ferber adresy z wyrazami uznania i sympatji? W „Wiadomościach Literackich“, w „Tygodniku Ilustrującym I-wszą Brygadę“, w „Świecie“ całostronicowe artykuły, t. z. „kobyły“, czy już były, czy nie były?

Znając tempo naszych wiemy że bez pomocy i pośrednictwa... „naszych“ o Ednie Ferber i o Fannie Hurst dowiedzą się wszyscy za... dwa lata. A tymczasem w tym wypadku komiwojażery literackie będą się spóźniać i ociągać. A dlatego, że tak powieść „W ó ł R o b o c z y“ słynnej dziś autorki „*Backs Street*“ i „*Five of Ten*“, jak i powieści „U r o d a A m e r y k i“ równie słynnej Edny Ferber są niezależnie od siebie poczętemi

a p o t e o z a m i p o l s k i e g o c h ł o p s t w a.

W momencie historycznym, kiedy czołowy pisarz obozu p. Józefa Piłsudskiego p. Kaden Bandrowski niecnie i czelnie szkaluje chłopstwo polskie, dwie renomowane (1932 - 3) i najbardziej czytane autorki amerykańskie dają dwa poprostu hymny ku czci ludu polskiego, dają dwa typy z emigranckiej warstwy chłopskiej wzięte, które stawiają za wzór Amerykanom [1]).

W „Wiadomościach Literackich“ o tem nie było jeszcze ani słówka.

Więc i „Polacy“ o tem nie tak prędko się dowiedzą, że typami powieściowemi, o których tej zimy pisała i mówiła elita literacka w Ameryce, są:

służąca polska, kucharka, pomywaczka, dziewczyna wiejska, śpiewające sobie w momentach bezgranicznej niedoli hymn polski, ale Polaków hymn polski (nie pieśń Zebrzydowczyków), wybuchające płaczem, gdy usłyszą grane na fortepianie mazurki Chopina... oraz

polski rolnik, kmieć emigrant, farmer, ratujący swą wytrwałością, pracowitością, wytrzymałością, hartem nie tylko ziemię, ale i c h o r ą p s y c h i k ę a n g l o s a s k i c h władców Ameryki.

W Polsce Brzeskiej, Radziwiłłowsko-Wiślickiej nic a nic o nich się nie wie. W „Wiadomościach...“ dr. Benrubbi (z „Goga“...) o nich nie pisał i pisać nie będzie. Kossakówny o takich Amerykankach słyszeć nie chcą, ani Pomper, Breiter *und so weiter.* Natomiast w niemieckiej prasie literackiej już o powieściach i Fannie Hurst i Edney Ferber się rozpisano. U nas nawet nikomu przez łeb czy łepetę nie przeszło, żeby to dla propagandowych celów wyzyskać.

ADOLF NOWACZYŃSKI

[1]) „Przyszli do tego nowego kraju gorliwi, pokorni, czczący grudę, którą orali, bruzdy, w które rzucali ziarno. Kochali ziemię miłością rolników urodzonych, idących z kraju, gdzie ziemia była zawsze rzeczą najdroższą i najcenniejszą. Wkładali w nią całą swą namiętność. Odnosili się do niej, jak mężczyzni do kobiety. Była ona ich życiem uczuciowem i ich rozkoszą i ich snem o władaniu. Pieniądze były im obojętne, bo oni byli kochankami Ziemi“.

NA MARGINESIE

W kuluarach Senatu:

— Czemu tak wielki klub sanacyjnych mężów stanu rolę referenta budżetu M. S. Z. powierza kobiecie?

— To dla Ligi Narodów — aby pokazać, że polityka zagraniczna Polski jest też pełna wdzięku.

*

— A dla czego dla uzasadnienia swej linji politycznej BB. wysuwa na front sen. Loewenherza?

— Aby okazać, że polityka polska jest niezależna i odważna, jak lew. No i że nie jest odosobniona... W tradycjach poetyckości polityki polskiej tkwi Jankiel, grający na cymbałach.

*

Sprawozdawca „Gazety Polskiej“, wychwalając referat senatorki Hubickiej, użył słów „mąż stanu“. Wywiązała się z tego powodu bójka z korektorem, który utrzymywał, że powinno być: „żona stanu“.

Tu znowu się plączą tradycje Grażyny.

*

Łomliwość odwiecznych urządzeń ludzkich ma być dowodem wielkości i niezłomności jednostki, która łamie. Ileż jednak skuteczniejsza była metoda wielkości królów, którzy wieczyste instytucje fundowali.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.